



Pamela Morsi



Dawne dni

Specjal - "Nocny Rejs"

Święto Dziękczynienia Dziś

W każdy wtorek i czwartek, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, „Manohra Song”, pięćdziesięcioletnia barka do przewożenia ryżu zamieniona w luksusową łódź, płynie w trzydniowy rejs po Rzece Królów z nowoczesnego Bangkoku do Ajutthaja, ruin stolicy starożytnego Syjamu. Łódź została zbudowana z różnych gatunków drewna z przepyszными rzeźbieniami i hojnie zdobiona tajskim jedwabiem. Na pokładzie są cztery kabiny, a tego szczególnego dnia, w ostatni czwartek listopada, trzy z nich zostały wynajęte.

Pierwsza para wcześniej przyjechała taksówką wprost z hotelu „Oriental”. Może nie mogli doczekać się rejsu, a może sądzili, że potrzebują więcej czasu. Ci żwawi seniorzy, oboje pod siedemdziesiątkę, byli podekscytowani podróżą niczym nowożeńcy. On, wysoki i szczupły, roztaczał wokół siebie aurę człowieka spełnionego i niebojącego się przyszłości. Jego żona należała do tych kobiet, które pięknieją z wiekiem, a zmarszczki na jej twarzy świadczyły tylko o skłonności do śmiechu.

Kiedy zjawili się przy trapie, natychmiast zgromadziła się załoga, żeby ich powitać. Pochylnono się w klasycznym ukłonie ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi. Para najwidoczniej była obeznana z lokalnymi zwyczajami, bo z gracją odpowiedziała na tradycyjne powitanie *wai*. Potem podano im chłodne ręczniki z trawy cytrynowej dla odświeżenia i poprowadzono do kabiny.

Druga para miała pod pięćdziesiątkę. Oboje przystojni. Ona z włosami do ramion poprzetykanymi srebrem, ale z twarzą rozjaśnioną wewnętrzną radością. Miała na sobie cudowny zielony sarong, który kupiła na jednym z tutejszych bazarów. Jej mąż wydawał się nieco starszy i bardziej konserwatywny, zachowywał się jak wojskowy. Prosty jak struna, z pewnością bardzo wysportowany, rozglądał się bystro dookoła. Miał na sobie beżową koszulkę polo i luźne spodnie.

Trzecia para była znacznie młodsza od poprzednich. Ze śmiechem wydostali się z maleńkiego *tuk-tuka*, głośnego, trójkołowego pojazdu, który można było wynająć wraz kierowcą na każdym rogu w Bangkoku. Mężczyzna ledwie przekroczył trzydziestkę, a kobieta była nieco młodsza.

On był bardzo przystojny, jego twarz o silnych rysach otaczała grzywa ciemnych włosów, które tu i ówdzie przyprószyła siwizna. Niósł drogi sprzęt fotograficzny. Zanim wsiedli, zapytał załogę łamanym tajskim o pozwolenie i zrobił kilka ujęć barki.

Jego żona spokojnie czekała z czułym i wyrozumiałym uśmiechem. W końcu sięgnęła do kieszeni spodni po gumkę i spięła dość krótkie, jasnobrązowe włosy, odsłaniając ciekawe, asymetryczne brwi.

- Pete, masz obsesję na punkcie pstrykania - zauważyła ze śmiechem.

Wreszcie skończył robić zdjęcia i pomógł żonie wejść na pokład.

- Niby tak, ale za to mi właśnie płacą. Zobaczysz, Natalie, że „World Sophisticate” kupi u mnie te zdjęcia. - Gorąco pocałował żonę.

Odpowiedziała mu z takim samym entuzjazmem. Dopiero po chwili zauważyli zebraną załogę i Natalie rzekła z uśmiechem:

- Wybaczcie, ale tym rejssem chcemy uczcić naszą pierwszą rocznicę ślubu. Poznaliśmy się właśnie w Bangkoku.

Załoga szykowała łódź do podróży, a pasażerom podano chłodne napoje i lekkie przekąski. Tych sześcioro obcych ludzi miało być z sobą na barce przez następne trzy dni i dwie noce, płynąc w osiemdziesięciokilometrową podróż główną tajlandzką rzeką.

- Witam - zaczął najstarszy z mężczyzn.

- Nazywam się Henry Brantly, a to moja żona, Dorothy.

- Mac Griffin - przedstawił się wojskowy, wyciągając dłoń. - I Christie, moja żona. Bardzo nam miło.

- Ja zaś nazywam się Natalie Sedgewick - z uśmiechem wtrąciła najmłodsza z pań. - A to jest Pete, mój dziarski staruszek.

Mąż dał jej lekkiego kuksańca, a potem spojrzął na pozostałych pasażerów.

- Nigdy nie gustowałem w nieopierzonych panienkach, ale ta tak mocno zalazła mi za skórę, że nawet igłą jej nie wydłubiesz - odgryzł się z wesołym błyskiem w oczach. - Dobrze przynajmniej to, że jak już kompletnie zgrzybieję, będzie mnie niańczyć.

Wszyscy się roześmiali.

- Skoro już się poznaliśmy, powinniśmy złożyć sobie życzenia z okazji Święta Dziękczynienia - zaproponowała Dorothy.

Kiedy się wyściskano wśród życzeń i żartów, na chwilę zapanowała cisza.

- W czasie wakacji łatwo jest stracić poczucie czasu - zauważył Pete.

- Och, moja żona nigdy nie przegapiłaby Święta Dziękczynienia - oznajmił Henry Brantly. - Właśnie w tym uroczystym dniu zaręczyliśmy się w domu jej rodziców.

- To urocze - skomentowała Christie.

- Tak, zawsze byliśmy konwencjonalni - westchnęła rozbawiona Dorothy.

- Poznałam Henry'ego, kiedy próbował ukraść moją bieliznę.

Wszystkie oczy natychmiast zwróciły się na starszego dżentelmena, który się zarumienił.

- Wyczuwam wspaniałą opowieść. Chcemy ją usłyszeć! - zawołał Mac.

- Skoro nalegacie... - zaczęła Dorothy z rozjaśnionym wzrokiem i ujęła dłoń męża.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Księżyc w pełni srebrzył nocne niebo, okrywając teren kampusu łagodnym światłem. Dorothy Wilbur, lepiej znana koleżankom z akademika jako Dot, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. Kasztanowe włosy uwolnione z kucyka spływały kaskadą na plecy. Mimo późnej pory nie spała, tylko smętnie wpatrywała się w pustkę. Dotąd się jej to nie zdarzało. Jednak teraz, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, przyszłość zbliżała się coraz większymi krokami. Wiedziała, że decyzje, które musi podjąć, zaważą na całym jej życiu.

Był rok 1956 i nadciągał koniec zimowego semestru, a wraz z nim rychły koniec jej studiów. Miała stypendium i doskonałe stopnie. Jutro rano czekał ją pierwszy egzamin z chemii. Dręczyły ją jak najgorsze przeczucia. Oczywiście, nie z powodu chemii. Nie tylko studiowała nauki ścisłe, stanowiły one sens jej życia. Przynajmniej tak uważała.

Aż do teraz, kiedy to doktor Falk postanowił ją zniszczyć. Podły doktor Falk.

Kiedy o nim myślała, zawsze jawił się jej jako opętany przez złe moce naukowiec, który w ponurej, zapuszczonej pracowni, odziany w brudny kitel, zaciera ręce i śmieje się demonicznie, znalazł bowiem kolejny sposób dręczenia pewnej studentki.

Falk był dziekanem Wydziału Nauk Ścisłych i bardzo starał się uprzykrzyć jej życie.

- Panno Wilbur - powiedział podczas dzisiejszych zajęć, przypatrując się jej zza grubych szkieleł. - Młode damy, które lubią miary i wagi, powinny siedzieć w kuchni i wymyślać nowe przepisy kulinarne, a nie zajmować cenną przestrzeń uniwersyteckiego laboratorium.

Ze wstydu i złości zapłonęły jej policzki. Wszyscy chłopcy patrzyli na nią ciekawie. Była w grupie jedyną dziewczyną.

- Czy z moim doświadczeniem jest coś nie tak? - zapytała, siląc się na spokój.

- Nie, panno Wilbur. To bardzo dobry eksperyment, tylko że prowadzi donikąd. Za pięć lat pani koledzy będą zajmować doskonale posady w prestiżowych firmach, dokładając kolejne cegielki na murach Świątyni Nauki. A pani? Pani będzie siedzieć w podmiejskim domku, otoczona czeredą gaworzących brzdąców. Jedyne, co będzie pani dokładać, to kolejne centymetry na własnych biodrach.

W sali rozległ się rubaszny śmiech. Dot miała ochotę wybuchnąć płaczem i wybiec z sali, trzaskając drzwiami, ale właśnie tego się po niej spodziewano. Dlatego, tłumiąc emocje, dumnie uniosła głowę.

Miała w tym niezłą praktykę.

- Kwiatuszku, chłopcy lubią słodkie i miłe dziewczęta - tłumaczył jej kiedyś ojciec. - Nie złapiesz męża, jeśli będziesz od niego mądrzej sza.

To samo mówili nauczyciele w szkole średniej.

- A więc wybierasz się na studia? - zapytał dyrektor Peterson, kiedy poprosiła go o pisemną rekomendację. - Coraz więcej dziewcząt decyduje się na to poświęcenie, żeby tylko złapać męża. - Roześmiał się ze swojego dowcipu.

Dot z zaciśniętymi zębami znosiła takie przytyki. Jedyne matka była po jej stronie.

- Rób to, co ci podpowiada serce, Dotty - powiedziała. - Kiedy przyglądam się swojemu życiu, zbyt wielu rzeczy żałuję.

Cztery lata studiów były ogromnym wyzwaniem dla takiej dziewczyny jak Dot. Jej ojciec był robotnikiem i przerzucał żużel w hucie. Matka zatrudniła się przy prasowaniu. Dot była najstarsza z czwórki rodzeństwa i doskonale wiedziała, że gdyby rodzice mieli płacić za czyjąś edukację, byłby to jej najmłodszy brat, Tom. Miał zaledwie dziesięć lat, a już wykazywał chęć do nauki.

Mimo to nie zrezygnowała.

Kiedy zdobyła stypendium z fundacji Kobiety dla Nauki, sądziła, że to koniec jej problemów. Szybko jednak przekonała się, że nastroje na uniwersytecie nie różnią się od tych, które poznała w rodzinnym mieście i w domu.

- Nauki ścisłe! - pisnęła Trixie, jej współlokatorka. - To ekscytujące! Spotkasz samych przystojniaków! Ja poluję na przyszłego lekarza - wyznała bez żenady.

Tymczasem małżeństwo nigdy nie należało do priorytetów Dot.

Dziwne dźwięki na zewnątrz wyrwały ją z niewesołych rozmyślań. Zaciekawiona podeszła do okna i zapatrzyła się w noc. Obok sadzawki dostrzegła jakieś poruszenie. Dobięły ją też stłumione szepty.

Zmarszczyła brwi i jeszcze uważniej wpatrzyła się w zarośla. Wprawdzie nie miała pojęcia co, ale dobrze wiedziała, że coś się dzieje. Na terenie kampusu były dwa akademiki, męski imienia Silasa Baldrige'a i żeński, któremu patronowała Elizabeth Compton. Budynek stały nieopodal, rozdzielone zwirowymi ścieżkami i małym parkiem przy sadzawce. Jednak nikomu nie wolno było tu przebywać po dwunastej, a Dot czuła, że zbliża się raczej druga w nocy.

- Trixie! - zawołała zduszonym szeptem, ale z łóżka koleżanki dobiegły ją jedynie jakieś nieartykułowane dźwięki. - Coś się dzieje. Ktoś jest przy sadzawce!

- Hm?

Zaspana Trixie wystawiła głowę spod pościeli akurat w chwili, gdy zabrzmiał wojenny okrzyk:

- Do ataku!

Hałas dobiegał z zarośli przy stawie. Po chwili trawnik przed żeńskim akademikiem zaroił się od biegnących, wrzeszczących i roześmianych młodych mężczyzn. Nieśli drabiny.

W budynku dziewcząt zabrzmiały przeraźliwe piski.

- Bieliźniany Rajd!

Wśród trzystu mieszkanek szacownej rezydencji wybuchło piekło. Wszędzie zapalały się światła, wszechobecny chaos zajął miejsce ładu i porządku. W akademiku zaroilo się jak w ulu. Każda z dziewcząt koniecznie musiała znaleźć się przy oknie.

- O rany, to się dzieje naprawdę! - jęknęła Trixie.

Dot spojrzała na koleżankę ubraną w różową piżamkę z włosami spiętymi w dwa słodkie kucyki. Na jej twarzy przerażenie walczyło z dziką radością. Po chwili otrząsnęła się z szoku.

- Schowaj bieliznę.

- Co? - nie zrozumiała Dot.

- Ukryj bieliznę. Oni przyszli ukraść nasze majtki! - pisnęła i rzuciła się do komody.

Ta nowa atrakcja życia studenckiego szybko rozprzestrzeniła się w całym kraju. Młodzi mężczyźni wdzierali się nocą do żeńskich pokoi, żeby wykraść bieliznę. Potem niewymowne zdobyły maszty zamiast flag lub przyozdabiały tablice ogłoszeń w męskich akademikach niczym cenne trofea.

Kiedy usłyszały szurnięcie drabiny po ścianie tuż za ich oknem, Trixie drgnęła nerwowo.

- Już tu są!

Ktoś włączył alarm przeciwpożarowy. Potępieńcze wycie i dziko błyskające światła wprowadziły katastroficzną nutę do damsko-męskiej batalii.

Trixie wygarnęła całą zawartość szuflady z bielizną i próbowała ją upchnąć na półkach za książkami.

Dot pobiegła do łazienki. Wyrzuciła z kubelka śmieci i nappełniła go lodowatą wodą. Z korytarza dobiegały piski, krzyki i odgłosy bezładnej bieganiny dziewcząt w piżamach i szlafrokach.

- Mężczyźni na piętrze! Uwaga! Mężczyźni na piętrze!

Dot wróciła pod okno. Na zewnątrz rozlegały się śmiechy i okrzyki zachęty.

- Dawajcie majtki! Barchanowe gacie! Majteczki w kropeczki! Centa za biustonosz! - wołali chłopcy.

Ostrożnie wyjrzała. Z piętra powyżej, dokąd drabiny nie mogły sięgnąć, w rozbawiony tłum sypał się deszcz kolorowej bielizny.

- Oddajemy im bieliznę? - spytała zdezorientowana Trixie. - Chowamy czy oddajemy?

Wszyscy byli jednak zbyt zajęci, żeby jej odpowiedzieć.

Dot dostrzegła, że do sąsiedniego okna również przystawiono drabinę i do pokoju jej koleżanek, Maylene i Evy, wdziera się jakiś młodzieniec.

Dziewczyny wcale mu tego nie ułatwiały ani nie zamierzały dobrowolnie się rozstawać ze swoją bielizną. Postanowiła wziąć z nich przykład.

Tuż pod jej oknem pojawił się intruz. Spojrzał w górę. Dot popatrzyła na niego. Nagle się rozpoznali.

- Dawaj bieliznę! - zażądał bezczelnie.

Niewiele myśląc, przechyliła wiaderko pełne wody i urządziła mu zimny prysznic.

ROZDZIAŁ DRUGI

Uczestnictwo w Bieliźnianym Rajdzie było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował Hank Brantly w przeddzień końcowego egzaminu z chemii. Po pierwsze, był zbyt stary na takie zabawy. Nie tylko studiował na ostatnim roku, ale również, przed rozpoczęciem nauki, odsłużył dwa lata w wojsku w Korei. Był więc sporo starszy od swoich kolegów, a doświadczeniem życiowym przerastał ich wielokrotnie. Czasami czuł się jak starzec wśród dzieci.

Może właśnie dlatego to zrobił.

Od kilku dni przysłuchiwał się rozmowom o nalocie na żeński akademik. Większość chłopców mgliście wyobrażała sobie, że pokręcą się pod oknami, rzucając drobne kamyki dla przyciągnięcia uwagi dziewcząt, a potem zostaną wpuszczeni do środka. Bez żadnego planu, strategii, taktyki. Nie mieli nawet jasno określonego celu. Hank nie był żołnierzem z zamiłowania, ale podczas służby liźnął nieco wiedzy o strategii, taktyce i wywiadzie, jeśli zostawiłby sprawy własnemu biegowi, nocna wycieczka skończyłaby się kompromitującą porażką. Nie miał więc innego wyjścia, jak tylko przejąć dowodzenie.

Najpierw zagonił do robienia drabin każdego studenta, który wiedział, jak trzymać młotek i posługiwać się piłą. Okna na parterze miały kraty, ale do położonych wyżej mogli się dostać dzięki drabinom. Udało się im zbudować ich aż sześć.

Co więcej, Hank zwerbował Mary Jane Coulter, dziewczynę, z którą kiedyś chodził i rozstał się w przyjaźni. Mary Jane z entuzjazmem przyjęła rolę tajnego agenta, natomiast Hank zaczął się obawiać, czy zdawała sobie sprawę, jakie mogą być konsekwencje tych igraszek.

- Jak usłyszę sygnał, mam włączyć alarm przeciwpożarowy, tak? -
upewniła się.

- Tak, tylko tyle.

- Łatwizna. A przekąski i poncz? Skoro ma być zabawa, to muszą być przekąski, Hank - kaprysiła.

- Myślę, że nie starczy nam czasu na jedzenie. Mary Jane, choć miła i uczynna, do najbystrzejszych nie należała. Hank miał wyrzuty sumienia, ale wiedział też, że to jedyna osoba z Compton Hall, którą może prosić o pomoc.

Włączenie alarmu przeciwpożarowego służyło dwóm podstawowym celom. Po pierwsze, przeraźliwe wycie syren zmniejszy możliwość zorganizowania skutecznego oporu, a po drugie, zostaną otwarte zamki przy wyjściach awaryjnych. To, co w razie pożaru miało umożliwić ucieczkę dziewczętom, tym razem pozwoli chłopcom dostać się do środka.

Punkt obserwacyjny Hank umieścił w zaroślach otaczających sadzawkę. Studenci nie mieli doświadczenia w podkradaniu się i kamuflowaniu. Niektórzy zabrali nawet z sobą piwo, chociaż przed tym przestrzegał. Ci, których przyłapał na picciu, byli odsyłani na tyły. Niestety, znalazł się także wśród nich przywódca grupy od drabiny numer trzy i Hank musiał zająć jego miejsce.

Właśnie taki splot okoliczności zaprowadził go pod okno dziewczyny, która od miesiący gościła w jego myślach. Panna Wilbur była wyjątkowa. I to nie tylko dlatego, że jako jedyna kobieta studiowała nauki ścisłe. Oprócz tego była bardzo piękna.

Hank nieraz przymierzał się, by zaproponować jej randkę, jednak skupiała się wyłącznie na nauce, a do takiej trudno zagadać. Bez dwóch zdań, była najpilniejszą i najbardziej skrupulatną studentką w całym kraju. Ponadto, gdyby ktoś chciał ją opisać z pierwszego wejrzenia, z pewnością użyłby określenia „poważna”. A takiej panny nie interesują randki. A już na pewno nie z nim.

Dlatego zupełnie się pogubił, kiedy, dotarłszy na szczyt drabiny, stanął oko w oko ze swoim najskrytszym marzeniem. Zupełnie nie był na to przygotowany.

Dlatego zrobił jedyną rzecz, która mu przyszła do głowy.

- Dawaj bieliznę! - krzyknął to samo co inni.

Już wcześniej dostrzegł kubełek w jej rękach, ale nie miał pojęcia, do czego mógłby służyć. Lecz zaraz zyskał tę wiedzę, bo na jego głowę chlusnęła lodowata woda. Pośliznął się, stracił równowagę i zawisł rozpaczliwie wczepiony rękami w piorunochron, dyndając nogami kilka metrów nad ziemią. Drabina z resztą kolegów runęła w dół. Hankowi pozostało tylko jedno: pójść w ich ślady. Rozluźnił uchwyt i twardo wylądował w kolczastych krzewach. Rośliny złagodziły upadek, ale Hank wplątał się w gałęzie i ostre liście. Zanim się wydostał, usłyszał wycie syren.

Po chwili policjanci w powodzi błyskających świateł sprawnie zaprowadzali porządek. Winowajcy zostali ustawieni w szeregu. Wielu

stchórzyło i opuścili pole walki. Hank tego nie zrobił. Ledwie udało mu się wyrwać z gościnnych objęć kolczastego krzewu, wytoczył się wprost pod nogi stróżów prawa. Był mokry, podrapany i rozdrażniony.

- Ty! - usłyszał. - Do szeregu!

Nie zamierzał się kłócić. Posłusznie stanął wśród wicherzycieli.

Dziewczęta triumfowały, widząc upokorzenie najeźdźców. Piski, śmiechy i docinki powiększały ich sromotę. Hank zerknął w okno panny Wilbur. Nie było jej tam. Zamiast niej dziewczyna w różowej piżamce i blond kucykach triumfalnie powiewała stanikiem, niczym flagą zwycięstwa.

Poculi się odrobinę lepiej, kiedy w żeńskim akademiku rozległ się wysoki, świdrujący głos opiekunki dziewcząt, wykrzykującej polecenia. Okna zostały natychmiast zamknięte, światła pogaszone i zapadła cisza.

Policjanci nie zamierzali dłużej zatrzymywać swawolnych studentów. Ograniczyli się do poświecenia latarką każdemu w twarz i odebrania uniwersyteckich przepustek.

Hank oddał swoją, jak wszyscy. Wiedział, co to oznacza. Brak wstępu na mecze i do innych pomieszczeń niż akademik czy szkolne sale, niemożność skorzystania z biblioteki, a nawet stołówki.

- Odbierzecie je jutro od dziekana - oznajmił surowo policjant.

Właśnie dlatego następnego dnia Hank wylądował wraz z resztą przestępców przed gabinetem dziekana. Puste zazwyczaj rzędy krzeseł były zajęte, wielu musiało stać. Czekali na swoją kolej, by poddać się osądowi i karze, co było warunkiem odzyskania przepustki. Hank już od dłuższej chwili kontemplował sznurowadła butów i wzór kafelków na podłodze, gdy usłyszał stukot damskich obcasów. Kiedy zerknął w tamtą stronę, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Panna Wilbur!

Widział ją rano podczas zajęć, ale jak zawsze nie rozglądała się po sali. Kiedy jako pierwsza skończyła pisać test, odwróciła kartkę i wpatrywała się w nią w ciszy do końca zajęć.

Hank nieco już poznał jej obyczaje, bo zawsze kiedy byli w tym samym pomieszczeniu, jego uwaga skupiała się właśnie na niej.

Była ubrana w to samo co rano. Na nogach miała buciki na niewysokim obcasie. Właśnie ten szczegół garderoby najczęściej różnił studentki od licealistek. Jedynym ukłonem w stronę młodości były białe skarpetki do kostek. Jej spódnica była wąska i prosta, pozbawiona rozcięć czy falbanek, w których lubowały się inne dziewczęta. Swetra nie można było nazwać obcisłym, ale na tyle przylegał do ciała, żeby podkreślać kobiece atuty. Hank doceniał jej figurę. Była szczupła, ale nie chuda, przyjemnie zaokrąglona we właściwych miejscach. Panna Wilbur była po prostu śliczna. Na szyi zawiązała kolorową chustkę, a ciemnobrązowe włosy zebrała w najzwyklejszy kucyk. Wargi podkreślał delikatny róż szminki. Jednak, jak zawsze, najbardziej fascynowały go jej oczy. Nie były rozmarzone czy też rozświetlone złośliwym humorem. Nie. Jej oczy zdradzały nieprzeciętną inteligencję i z nadzieją oraz optymizmem śmiało patrzyły w przyszłość.

Wszystko to zauważył w ułamku sekundy. Nagle zdał sobie również sprawę, że piękna panna minie go w drodze do gabinetu dziekana do spraw studentek.

- Panno Wilbur! - zawołał, wstając.

Zatrzymała się zaskoczona i spojrzała na niego.

- Ach... witaj. - Zmarszczyła brwi, patrząc na Hanka jak na kogoś, kogo się zna, lecz nie wiadomo skąd. - To ty byłeś pod moim oknem - oznajmiła po chwili.

- Tak, ja...

Drzwi do gabinetu dziekana się otworzyły.

- Henry Brantly - zawołała sekretarka. Skinął głową.

- Właśnie czeka mnie na ten temat rozmowa z dziekanem - przyznał. - Jestem oskarżony o usiłowanie kradzieży bielizny.

- Aha... - Teraz to ona kiwnęła głową. W jej oczach błysnęła jakby zapowiedź rozbawienia.

- A ty? - spytał. - Dlaczego tu trafiłaś? Czyżby przedstawiono ci zarzut wylania mokrej substancji niewiadomego pochodzenia na Bogu ducha winnego amatora nocnych wspinaczek?

Uśmiechnęła się. To było lepsze, niż się spodziewał. Miała piękny i jasny uśmiech, a jej nosek uroczo się przy tym marszczył, sprawiając, że stawała się bardziej ludzka. W jego sercu zagościły ciepłutkie uczucia.

- Za taki czyn nie czeka mnie kara - zapewniła z mocą. - Przeciwnie, spodziewam się medalu za heroizm w obronie bielizny.

- A ten medal nazywa się Ręce Precz od Niewymownych i ma rangę równą Orderowi Podwiązki - przytaknął Hank z uroczystą powagą.

- Panie Brantly! - zniecierpliwiła się sekretarka.

- Muszę lecieć.

- Mam nadzieję, że znanadto nie zmyją ci głowy - powiedziała z jawnie fałszywym współczuciem.

- Och, tę nauczkę odebrałem już wczoraj! Zachichotała. Panna Wilbur zachichotała!

Z tym uroczym dźwiękiem w duszy przekroczył próg gabinetu dziekana. Mimo że natychmiast odsunął od siebie wszystko inne poza nauką, już wiedział. Ożeni się z tą kobietą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dot cieszyła się ze spotkania, które chociaż na chwilę rozproszyło jej ponure myśli. Wieczorne troski wcale nie znikły z nadejściem świtu. Były nawet większe. Dlatego po egzaminie została w sali nieco dłużej, żeby porozmawiać z Falkiem.

Kiedy inni studenci wyszli, podeszła do jego biurka. Zerknął na nią przelotnie i wrócił do przeglądania książki.

- Doktorze Falk? Z tego, co wiem, przedstawiciele Duponta mają odwiedzić uniwersytet w przyszłym tygodniu.

- Tak. W czwartek spodziewamy się dwóch dżentelmenów.

- Jak rozumiem, są zainteresowani zatrudnieniem w swojej firmie obiecujących młodych ludzi.

- Duże firmy zawsze szukają pracowników.

- A pracownic? - spytała znacząco. - Chciałabym się z nimi spotkać.

Wreszcie uniósł wzrok. Jego spojrzenie stwardniało.

- Och, tak mi przykro, panno Wilbur - powiedział fałszywie. - Lista rekomendowanych studentów została im już przedstawiona i obawiam się, że pani na niej nie figuruje. Szkoda, że nie wyraziła pani swojego zainteresowania wcześniej...

- Ależ wyraziłam - przypomniała oschle. - Pierwszy raz, gdy tylko rozeszła się plotka, drugi - dwa tygodnie temu, i jeszcze raz w ubiegłym tygodniu.

- Naprawdę? Niestety, musiało mi to umknąć. - Wrócił do lektury. - Jest pani wolna, panno Wilbur.

Dot wiedziała, że nie może zrezygnować. Potrzebowała poparcia i rekomendacji doktora Falka, bo bez tego nie miała co liczyć na porządną pracę. Kończyła studia i większość kolegów z grupy, tych, którzy prawie dorównywali

jej w nauce, miała już zapewnione posady w przemyśle chemicznym lub farmaceutycznym. Tylko jej nie polecono przedstawicielom żadnej firmy. Jeśli sprawy miałyby potoczyć się po myśli doktora Falka, jej nazwisko nigdy nie padnie w poważnych rozmowach.

Zadzwoiła więc do dziekanatu i umówiła się na rozmowę z przełożoną do spraw studentek. Przez całą drogę układała przemowę. Ostrożnie dobierała słowa, szukała trafnych argumentów i kontrargumentów. Na koniec miała taki zamęt w głowie, że obawiała się, iż nie skleci żadnego sensownego zdania. Dot nigdy nie miała kłopotu z zapamiętaniem wszystkich pierwiastków z tablicy Mendelejewa, ale teraz dręczyła ją myśl, że wszystko się jej popłącze z nadmiaru emocji.

Niedoszły bieliźniany rabuś okazał się idealną kuracją. Śmiech pozwolił jej się odprężyć i spojrzeć na problemy z większym dystansem. Wchodząc do gabinetu dziekana, wciąż się uśmiechała.

Doktor Barbara Glidden, zajmująca się sprawami studentek, była drobną kobietą z tak wielką energią, że wszystkim kojarzyła się z kolibrem. Miała około sześćdziesięciu lat, bystre spojrzenie i siwe włosy upięte w schludny koczek. Wydawało się, że zawsze jest uśmiechnięta, ale jednocześnie emanowała z niej siła, która przyciągała młode kobiety. Czuły się pewniej, mając ją po swojej stronie.

Dot miała nadzieję, że otrzyma od niej skuteczną pomoc.

Spokojnie i szczegółowo wyjaśniła nieprzyjemną atmosferę w grupie doktora Falka. Doktor Glidden słuchała uważnie, kiwając głową.

- Doktor Falk pochodzi ze starej szkoły, a przedmiot, który wykłada, jest tak zdominowany przez mężczyzn, że nie przywykł do pracy z kobietami.

- Czyżby był nam przeciwny? Traktuje mnie bez szacunku, odbiera możliwości, które dostępne są mężczyznom. To nie jest sprawiedliwe.

Doktor Glidden zareagowała uśmiechem. Miała piękny uśmiech. Podobno w czasach młodości była uniwersytecką królową piękności. Teraz jednak nauczała, pełniła funkcje administracyjne i była starą panną.

- Ten, kto mówił, że życie jest sprawiedliwe, oszukał cię, Dorothy. - Pani dziekan już się nie uśmiechała.

- Czy jest jakiś sposób, żeby było bardziej fair?

- Postaw się na miejscu doktora Falka.

- Mam znienawidzić kobiety?

- On nas nie nienawidzi, tylko uważa, że przy tak ograniczonych środkach nie warto inwestować w edukację tych, którym się ona nie przyda w życiu.

- Nauka jest dla mnie ważna! - zaprotestowała.

- Większość kobiet pracuje tylko do ślubu. - Doktor Glidden wzruszyła ramionami. - To znak naszych czasów. Wkładamy wiele starań w naukę dziewcząt, a potem zjawia się ten jeden jedyny i zamiast pracować, wyedukowana młoda kobieta zostaje w domu. To dla nas nie jest przyjemne, a doktor Falk wypracował własny sposób, żeby z tym walczyć.

- Ależ mnie zależy na dobrej posadzie! - zawołała Dot. - Jestem świetna w przedmiotach ścisłych i chcę pracować w zawodzie.

- Teraz tak myślisz, ale kiedy wyjdiesz za mąż i ten twój jeden jedyny poprosi cię, byś zajęła się domem, zaczniesz myśleć inaczej.

- Moja mama pracuje - odparła Dorothy.

- Zajmuje się prasowaniem i otrzymuje za to pieniądze.

- Twoja mama należy do klasy robotniczej - oznajmiła brutalnie dziekan - natomiast ty, kończąc uniwersytet, masz większe aspiracje. A mąż z klasy średniej lub wyższej źle wypadnie w oczach innych, jeśli nie zdoła zapewnić ci godziwych warunków i będzie zmuszał cię do pracy.

- Przecież nie będę pracować z musu, tylko z wyboru.

- Wszyscy będą to widzieć inaczej. Nikt ci nie uwierzy ani tego nie zrozumie. A nawet jeśli, to małżeństwo przecież oznacza dzieci. Co zrobisz ze swoimi? Zostawisz je w domu i pójdziesz do pracy?

Dot nie umiała na to odpowiedzieć. Potrząsnęła głową.

- Jako pierwsza w mojej rodzinie poszłam na studia. To ogromna szansa. Nie mogę jej zaprzepaścić.

- Duże firmy nie szukają tymczasowych pracowników do swoich laboratoriów. Jeśli masz pracować tylko do ślubu, powinnaś zostać sekretarką.

- To mi nie wystarcza. Kocham nauki ścisłe.

- Cóż, w takim razie mogłabyś zostać nauczycielką w liceum. Jestem pewna, że w niewielkich miastach i wioskach są takie szkoły, których dyrektorzy zgodzą się, by uczyła kobieta. Masz też szansę jako pielęgniarka. To praktyczne zastosowanie nauk ścisłych.

- Nie chcę uczyć ani leczyć. Chcę pracować w wielkim laboratorium i zgłębiać tajniki biologii i chemii.

- Musisz to sobie dobrze przemyśleć, Dorothy - rzekła z powagą pani dziekan. - Trzeba mieć powołanie do badań naukowych. Jeśli naprawdę chcesz się temu poświęcić i być traktowana na równi z mężczyznami, to musisz zrezygnować z męża i dzieci.

- Słucham?

- Tylko w ten sposób możesz podążać za swoim powołaniem. W świecie mężczyzn trzeba porzucić kobiece aspiracje. To nie jest łatwe. Mówię ci to jako kobieta, która tego dokonała.

Dot przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa.

- To dlatego nie wyszła pani za mąż - wydukała w końcu.

- Nie zamierzałam dawać żadnemu mężczyźnie prawa do mówienia mi, co mam robić. - Westchnęła. - I nie żałuję. Mam kolegów i przyjaciół, a także pół tuzina siostrzenic i bratanków. Moje życie nie jest pustynią żalu, jak ludzie wyobrażają sobie żywot starej panny.

To określenie nawet w Dot budziło najgorsze skojarzenia.

- Kobieta, która szczerze pragnie poświęcić się pracy zawodowej, nie może myśleć o małżeństwie - dodała pani dziekan. - Bo to oznacza dbanie o dom i męża, a także rodzenie dziecka co kilka lat. Zanim to się skończy, kobieta będzie zbyt stara i zmęczona, żeby zrobić coś jeszcze ze swoim życiem. Żona i kariera zawodowa, to się po prostu wyklucza. Musisz wybrać tylko jedną z tych ról.

- Mężczyźni nie muszą wybierać - wytknęła Dot. - Mają rodziny i robią kariery zawodowe.

Doktor Glidden pokręciła smutno głową.

- Jak już mówiłam, świat nie jest sprawiedliwy. Ja to wiem, doktor Falk również. Niedługo skończysz studia, więc też powinnaś to już zrozumieć.

Kilka minut później Doroty opuściła gabinet pani dziekan.

- Zanim zaczniesz walczyć o swoją przyszłość, najpierw musisz zdecydować, czego naprawdę pragniesz w życiu - brzmiała jej ostatnia rada.

Stała więc przed trudnym wyborem. Nie chciała rezygnować z pogoni za marzeniami, tym bardziej że zdawała sobie sprawę ze swoich talentów. Nie była jednak aż tak zauroczona światem nauki, by nie widzieć siebie w roli żony i matki. Zarówno w szkole średniej, jak i na studiach spotykała się z chłopcami. Z takimi, których szczerze lubiła. Choć nigdy jeszcze nie była zakochana, wierzyła, że to możliwe.

Jej rodzice, mimo trudności finansowych i nieustannej walki o byt, bardzo się kochali. Czasem późno w nocy słyszała ich rozmowy, śmiech i przekomarzania. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że czerpią ogromną radość z własnego towarzystwa i dzieci. Chociaż, z drugiej strony, ani fizyczna praca w hucie, ani prasowanie nie wydawały się poważną konkurencją dla instytucji małżeństwa.

Jednak ona walczyła o to, by zdobyć lepszy zawód. Chciała odkrywać leki zwalczające groźne choroby albo projektować urządzenia, które sprawią, że

życie będzie prostsze i bezpieczniejsze. Miała do tego talent i powołanie. Nie dostrzegała nic złego w podążeniu tą drogą.

Ale pamiętała też uczucia, które ogarniały ją, kiedy trzymała w ramionach Toma, najmłodszego brata. Czy bardziej niż macierzyństwa pragnę nauki? - rozważała w duchu.

Musiała naprawdę dużo przemyśleć. Głęboko zadumana, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ktoś kroczy obok niej.

- Nie chciałem ci przerywać - powiedział Hank, gdy go zauważyła.

- Śledzisz mnie?

- Miałem raczej nadzieję, że odprowadzam.

- A dokąd?

Przez chwilę zastanawiał się nad właściwą odpowiedzią.

- Do akademika? Do biblioteki? Nie, czekaj!

Do „Swimmsa”! - oznajmił radośnie. - Po konfrontacji z dziekanem należy udać się do „Swimmsa” - powiedział pouczająco, szukając w kieszeni monet. - Oho! - zawołał, wyciągając drobne. - Możemy zaszaleć.

Z początku zamierzała odmówić. Miała o czym myśleć, tylko że była już porządnie zmęczona myśleniem. Bardziej potrzebowała choćby najmniejszej rozrywki, a Hank Brantly naprawdę ją rozbawił przed rozmową z panią dziekan. Może mógłby to zrobić znowu.

- No dobrze. Więc prowadź, mój panie.

- Nic z tych rzeczy. - Ujął ją pod rękę. - Nie należę do mężczyzn, którzy muszą przewodzić.

- Gdzie więc jest moje miejsce? - zapytała, uwalniając się z jego uścisku i krzyżując ręce na piersiach.

- Sądzę, piękna panno, że stanęłaś właśnie u progu wspaniałego romansu - oznajmił z poważnym uśmiechem.

Roześmiała mu się w twarz.

- Ten tekst zapewne działa na wszystkie dziewczyny?

- Nie mam pojęcia - odparł niezrażony. - Nigdy nie próbowałem.

- A więc jestem królikiem doświadczalnym? Hm. Wolę raczej myśleć o sobie jak o obiekcie badań naukowych.

„Swimms” mieścił się tuż za kampusem. Na tyle daleko, żeby nie obowiązywały tu studenckie prawa, i na tyle blisko, że można tu było usłyszeć uniwersytecki dzwon. Olbrzymia powierzchnia była podzielona na mniejsze boksy z krzesłami i stolikiem. Wszystko utrzymane było w barwach szkoły, a gdzieś tam wisiły zdjęcia z meczów albo miniatury szkolnych maskotek. Było tu gwarno i rojno, a co najważniejsze - wesoło. Praktycznie wszyscy klienci stanowili jedną studencką brać.

Musieli podejść do baru, bo nie było wolnych miejsc. Usiedli na wysokich stołkach i poczekali na kogoś z obsługi. Szybko zjawił się kelner i przetarł przed nimi blat.

- Co podać? - spytał Hanka.

- Hm, będę zgadywał - oznajmił, przyglądając się Dot.

- Więc próbuj, choć i tak ci się nie uda - przekomarzała się.

- Zwyczajna dziewczyna zamówiłaby koktajl waniliowy, ale to nie w twoim stylu...

- Zawiesił głos, ale nie otrzymał żadnej podpowiedzi. - Deser wiśniowo-ananasowy?

- Nie trafiłeś. Poproszę koktajl kokosowo-czekoladowy.

- A dla pana?

- Wystarczy mi druga słomka. Widzę, że muszę się jeszcze wiele nauczyć o pannie Wilbur - wyjaśnił kelnerowi. - Czy wciąż mam cię tak nazywać?

- Tak się nazywam. Nie podoba ci się?

- To do ciebie nie pasuje. Jakbym mówił do jakiejś zasuszonej starej panny. Wiesz, wolałbym mówić „kochanie”, ale nie jestem pewien, czy mi na to pozwolisz.

- Nie - oznajmiła sucho. - Ale możesz mi mówić Dot.

- No dobrze, Dot. Jestem Henry, ale możesz mi mówić Hank, o ile w ogóle będziesz chciała ze mną rozmawiać.

Postanowiła zignorować jego ironiczny uśmiech.

- Jak poszła ci rozmowa z dziekanem? Skoro tu jesteś, to pewnie odzyskałeś przepustkę.

- Ograniczenie wolności byłoby przecież zbyt okrutną karą. Ja sam wnioskowałem o rozstrzelanie o świcie. Przynajmniej dają ci zapalić ostatniego papierosa. To jedyny przypadek, kiedy palenie jest dozwolone na terenie kampusu.

Powaga, z którą wygłosił to oświadczenie, rozśmieszyła Dot do łez.

- A tak poważnie, na czym stanęło?

- To gorsze niż egzekucja - oznajmił tragicznym tonem. - Uczestnicy Bieliźnianego Rajdu muszą za karę zorganizować bal.

- Co?

- Dziekan uznał, że rezydenci Baldridge'a muszą nauczyć się postępować z kobietami, dlatego mamy wydać oficjalny bal i zaprosić na niego mieszkanki Comptonu.

- Ojej!

- Jest gorzej, niż myślisz.

- Jak to możliwe? - spytała, hamując śmiech.

- Jakaś gnida, zapewne na torturach, zdradziła, że to ja byłem przywódcą nocnej eskapady, zostałem więc przewodniczącym komitetu organizacyjnego balu.

- O nie!

- O tak.

Dot nie umiała już ukryć rozbawienia. Na samą myśl o tym, że hałaśliwi, niezgrabni i nieokrzesani mieszkańcy męskiego akademika mają dystyngowanie siedzieć, sącząc poncz i chwalać mikroskopijne kanapeczki, dostała ataku śmiechu.

- Miło mi, że tak się dobrze bawisz - mruknął - bo ja się czuję tak, jakby ktoś wylał mi na głowę wiadro zimnej wody.

Dot zdawało się, że za chwilę pęknie ze śmiechu.

- Wybacz - przeprosiła zdławionym głosem - ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta kara to świetny żart. Wierzę w was, chłopcy!

- O tak. Wydamy czarujące przyjęcie - oznajmił z przekąsem. - Jak myślisz; czy na stołach powinny stać gardenie, czy chryzantemy?

- To zależy od tego, w której porze roku planujecie przyjęcie.

- Musi się odbyć przed przerwą z okazji Dziękczynienia.

- W takim razie stawiałabym na bukiety z jesiennych liści.

- No i sama widzisz. To jedna z tych podstawowych rzeczy, o których mężczyźni nie mają pojęcia. - Hank pokręcił głową. - Powiedziałem dziekanowi, że nie damy rady zorganizować balu, i wiesz, co mi odpowiedział?

- Co?

- Cytuję: „Ja też myślałem, że nie ma sposobu, by nocną porą wprowadzić bandę chłopaków do żeńskiego akademika”.

- Widzisz? Jesteś właściwą osobą na właściwym miejscu.

Kelner przyniósł koktajl, postawił na środku stolika i wetknął dwie zielone słomki. Kiedy odszedł, Hank ujął za ogonek wisienkę, która wieńczyła deser.

- To dla ciebie - oznajmił.

Dot spodobały się jego dłonie. Wielkie, opalone i nawykłe do pracy. Błyszczący, czerwony owoc zdawał się przy nich mały, ale Hank trzymał go bardzo delikatnie.

- Mniem - powiedziała, sięgając po wiśnię. Jednak on tylko pokręcił głową i sam przysunął owoc do jej warg. Ugryzła.

- Słodkie.

- Tak, słodkie...

- Mówiłam o wiśni.

- A ja o tobie.

Udała, że nie zwraca uwagi na jego komentarz i zajęła się napojem.

Westchnęła z zadowoleniem po pierwszym łyku.

- Przepyszny.

Hank poszedł za jej przykładem. Pochylił się i zbliżył usta do słomki.

- Dobrze. Nigdy bym się o tym nie dowiedział, gdybyśmy tu razem nie przyszli.

- Więc jednak warto było narazić się na zimny prysznic.

- Cóż, niektórzy są zdolni do największych poświęceń, żeby zdobyć kobietę.

Zgodnie rozkoszowali się koktajlem, rozmawiając, przekomarzając się i narzekając na strzępki orzecha kokosowego, które blokowały słomki.

- Wiesz, co mi się najbardziej podoba we wspólnym picciu koktajlu? - zapytał Hank.

- To, że oszczędzasz połowę pieniędzy?

- To, że mogę być blisko dziewczyny, którą lubię. Nie ma lepszego sposobu na spędzanie czasu w publicznym miejscu. Siedzimy tak blisko siebie, że czuję zapach twoich włosów, prawie stykamy się twarzami, a nasze usta są ułożone jak do pocałunku - oznajmił z rozmarzonym wzrokiem.

Dot uznała, że natychmiast trzeba go przywrócić do rzeczywistości.

Chwyciła resztę, którą wydał kelner, i zerwała się na równe nogi.

- Zatańczymy. - Pociągnęła go na parkiet, gdzie kołysało się kilka par.

Stała przy szafie grającej i w skupieniu zaczęła czytać tytuły piosenek. Nagle poczuła, że Hank staje blisko niej. Ich ciała się nie stykały, ale taki kontakt wydawał się jej nawet bardziej intymny niż dotyk. Kiedy się odezwał, poczuła jego oddech tuż przy swoim uchu.

- Starczy nam na trzy piosenki. Ty wybierz dwie, ja jedną - powiedział.

- Dobrze.

Zamierzała wybrać coś szybkiego do tańca, a jednocześnie niosącego jakieś przesłanie. W końcu zdecydowała się na „Why Do Fools Fall in Love?” Frankiego Lemony i Teenagers, piosenkę, która próbuje wyjaśnić, dlaczego głupcy się zakochują. Następna miała być „Gonna Get Along Without You Now” Patience i Prudence, która to piosenka radziła, jak obyć się bez ukochanej osoby.

- Teraz moja kolej. - Hank bez namysłu wybrał utwór o czułym Kochaniu „Love Me Tender” Elvise Presleya.

Najpierw mieli tańczyć do jej piosenek. Dot nigdy nie była dobrą tancerką, Hank też nie czuł się mistrzem, a jednak razem dali całkiem niezły popis na parkiecie. Po kilku chwilach byli roześmiani, zdyszani i rozluźnieni. Potem nadeszła kolej na romantyczną piosenkę Hanka. Przyciągnął do siebie Dot i prawie zanurzył twarz w jej włosach.

- Trzymasz mnie za blisko - zaprotestowała.

Odsunął się tylko tyle, żeby zajrzeć jej w oczy

- Muszę przecież poćwiczyć przed balem

- wyjaśnił z łobuzerskim błyskiem w oku.

- Jestem pewien, że nie pozwolą nam na rock and rolla.

- Jeśli chcecie się trzymać z dala od kłopotów, nastawcie się raczej na tańce klasyczne.

- Mogą być klasyczne, o ile będę mógł cię przytulać.

Rzeczywiście ich taniec bardziej przypominał przytulanie. Niby Hank trzymał klasyczną ramę, ale jego ręka, która powinna lekko oplatać talię partnerki, leżała zdecydowanie zbyt blisko jej pośladków, ciała ocierały się o siebie w tańcu, a powietrze aż się skrzyło od tłumionych namiętności.

Dot przymknęła oczy i napawała się chwilą. Chciała dobrze zrozumieć swoje uczucia. Tę niespotykaną słodycz w duszy i rozkoszne rozleniwienie, które ją ogarnęło. Oraz fale podniecenia, które niemal groziły utratą zmysłów.

Kiedy otworzyła oczy, napotkała spojrzenie Hanka. Odbijała się w nim ta sama tęsknota, a także niepewność, które sama odczuwała. To było przerażające.

Gwałtownie się odsunęła. Na szczęście jej gest zbiegł się z końcem piosenki, więc mógł zostać uznany za naturalny.

- Muszę... muszę już wracać do akademika - szepnęła.

Przez chwilę obawiała się, że Hank poprosi ją o wyjaśnienia, ale tylko skinął głową i powiedział:

- Odprowadzę cię.

Nie do końca o to jej chodziło, ale nie zamierzała się kłócić. Razem ruszyli do wyjścia. Dot czuła się niezręcznie, idąc obok Hanka. Nie wiedziała, co tak naprawdę zaszło między nimi na parkiecie, ale nie zamierzała o tym teraz rozmawiać.

Musiał wyczuć jej nastrój, bo wybrał zupełnie inny temat:

- Opowiedziałem ci moją rozmowę z dziekanem. A czego chcieli od ciebie?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Hank Brantly dobrze wiedział, czego chce. Miał tę pewność, odkąd skończył dziesięć lat. Chciał być mężczyzną. Jakby to było wczoraj, pamiętał ostatnią rozmowę z ojcem, który kucnął przy nim, żeby obetrzeć mu łzy.

- Nie możesz płakać - oznajmił. - Ja muszę wyjechać, a ty nie możesz płakać. Będiesz głową domu, póki nie wrócę. Liczę na ciebie. Musisz zająć się mamą, kiedy mnie nie będzie.

- Tak, tatku. - Mały Hank zagryzł wargę i starał się powstrzymać łzy.

- Dbaj o mamę i jej słuchaj. To twoje zadanie. Musisz być mężczyzną. Mogę na ciebie liczyć?

- Tak, tatku - dzielnie przytaknął.

Pięć minut później wojskowy autobus zabrał ojca i nigdy go już nie zobaczyli. Hank nie zapomniał o swojej obietnicy, chociaż trudno było mu jej dotrzymać.

Najpewniej dlatego, że matka nie chciała lub nie potrzebowała jego pomocy. Była dojrzałą kobietą i nie pytała dziecka o radę.

Przeprowadzili się do miasta, żeby mogła podjąć pracę na zapleczu armii. Kiedy skończyła się wojna, straciła posadę. Świat nie miał wiele do zaoferowania samotnej matce. Wciąż szukała stałego zatrudnienia, które mogło im zapewnić stabilną płacę i bezpieczeństwo. Pracowała do późna, czasem na dwóch posadach. Hank wychowywał się sam, póki nie dorósł na tyle, żeby też podjąć pracę. Matka w końcu poradziła sobie z finansami, choć wcale nie dzięki chudym wypłatom, które jej przysyłał. Kiedy on służył w armii, wyszła za mąż za podstarzałego wdowca, który miał kłopoty ze zdrowiem i wymagał stałej opieki. Mimo to była zadowolona ze swojego losu. Natomiast jej syn miał poczucie, że zawiódł.

Jednak odprowadzając Dot do akademika, nie opowiedział jej tego wszystkiego. Przedstawiał raczej fakty, niż uczucia.

- Mój ojciec zginął w czasie drugiej wojny światowej w Foggii we Włoszech. Próbowałem odnaleźć to miejsce na szkolnym globusie, ale było zbyt małe, żeby je zaznaczono. Chciałbym tam kiedyś pojechać.

- Rozumiem cię, Hank. - I tak było naprawdę.

- Kiedy się zaciągnąłem, miałem nadzieję, że wyślą mnie do Europy, ale to tak nie działa w armii. Jeśli tylko zorientują się, że zależy ci na Europie, pošlą cię do Korei. A jeśli chcesz jechać do Niemiec, musisz się starać o przydział na biegun północny.

Uśmiechnęła się do niego. Hank coraz bardziej lubił jej uśmiech. Można się w nim zupełnie zatracić, pomyślał.

- Podobało ci się w wojsku?

- Niespecjalnie - przyznał szczerze. - Jestem dumny, że mogłem służyć, i bardzo szczęśliwy, że już skończyłem. To nie była moja bajka. Niektórzy naprawdę lubią to poczucie koleżeństwa i dryl. Zresztą coś dziwnego dzieje się z facetami na polu walki. Owszem, nienawidzą tej... pracy, ale zarazem ją kochają. Jednak ja mam już dość na całe życie.

Rozmawiali przez całą drogę. Hank, który nigdy nie był gadatliwy, odkrył nagle, że ma wiele do powiedzenia i lubi mówić to wszystko właśnie Dorothy Wilbur.

Gdy dotarli do Comptonu, usiedli na werandzie i długo jeszcze rozmawiali. Do rzeczywistości przywołały ich dopiero migające światła, które sygnalizowały, że jest wpół do jedenastej i zaraz drzwi akademika zostaną zamknięte.

Dziewczęta musiały wracać wcześniej. Chłopcom wolno było wracać, kiedy chcieli. Traktowani byli jak dorośli, podczas gdy ich koleżanki były kontrolowane i chronione jako słabsza płeć.

- Muszę wejść do środka, bo po zamknięciu drzwi trzeba się gęsto tłumaczyć.

- Nie chciałbym, żebyś miała przeze mnie kłopoty. Już i tak byłaś w tym tygodniu u pani dziekan. - Znów się do niego uśmiechnęła, ale tak, jakby przypomniał jej coś niemiłego. - Mogę do ciebie zadzwonić?

- Jasne. - Podała numer ogólnodostępnego telefonu na piętrze i pobiegła do środka razem z innymi dziewczętami.

Hank jeszcze przez chwilę za nią patrzył. Na jego oczach drzwi zamknęły się przed nosem jednej ze studentek, objuczonej naręczem książek. Musiała zadzwonić i poczekać, aż zostanie wpuszczona.

Pokręcił głową i ruszył w drogę powrotną do swojego akademika. Rozmyślał o minionym dniu i o Dot. Gdy tylko wszedł do Baldrige'a, otoczyli go podekscytowani koledzy, którzy wypytywali o bal, dorzucali nowe pomysły albo zmieniali plany.

- Jutro mamy spotkanie organizacyjne - oznajmił wreszcie Hank. - Dziś mam co innego do załatwienia.

Kiedy zostawili go w spokoju, wszedł do niewielkiej kabinki telefonicznej z drewnianą ławką i wybrał numer, który dostał od Dot. W kobiecym akademiku zgłosiła się obca dziewczyna, więc poprosił o połączenie z Dot.

- Dot Wilbur! Telefon do Dot Wilbur!

Musiał chwilę poczekać, zanim usłyszał jej zdyszany głos.

- Tak, słucham?

- Powiedziałaś, że mogę zadzwonić - rzucił zamiast powitania.

Po chwili ciszy rozległ się jej perlisty śmiech.

- Ej, chyba jeszcze nie zdążyłaś się stęsknić?

- Zdążyłem. Kiedy tylko poszłaś, przypomniałem sobie tysiąc rzeczy, o których ci nie powiedziałem, bo zabrakło nam czasu.

Rozmawiali ponad godzinę W końcu odezwała się telefonistka, uprzedzając, że zaraz przerwie połączenie, gdyż w żeńskim akademiku zaczyna się cisza nocna.

- Zobaczymy się jutro? - zapytał Hank.

Zgodziła się, ale naprawdę nie spodziewała się, że zastanie go rano przed drzwiami budynku akademika.

- Mówiłaś, że się zobaczymy - przypomniał, widząc jej zaskoczenie.

- Tak, ale miałam na myśli popołudnie, a nie błądy świt - odparła ze śmiechem.

- Pomyślałem, że możemy pójść razem na zajęcia.

Ranek był słoneczny i rześki, drzewa okraszone kolorowymi liśćmi. Powietrze pachniało jesienią. Strój Dot pasował do pory roku krojem i barwami. Hank zaproponował, że poniesie jej książki, ale odmówiła.

- Masz sporo swoich

- Tak, ale dźwiganie własnych to obowiązek, a twoich to zaszczyt.

- Nie musisz mnie obsypywać aż tak wielkimi honorami - zakpiła. - Jestem tylko koleżanką z uczelni.

Uniósł brwi. Nie tego pragnął. Wczorajszy wieczór również nie zapowiadał takiego oświadczenia z jej strony.

- Idę na wydział nauk ścisłych - powiedziała. - Może tu się rozstaniemy, jeśli ci to nie po drodze?

- Wiem, gdzie masz zajęcia - oznajmił ze śmiechem. - Ja też tam idę. Jesteśmy w tej samej grupie. Zaraz mamy chemię organiczną.

- Nie rozumiem, jak mogłam cię nie zauważyć. - Była kompletnie zaskoczona.

- Na sali nie widzisz nikogo poza doktorem Falkiem. Uważna obserwacja naszego nauczyciela to rozsądna rzecz. Przynajmniej nie zajdzie cię od tyłu, żeby wbić sztylet w plecy.

Nie rozbawił jej ten żart, bo tak naprawdę nie był to żart, tylko smutna prawda.

- Falk to idiota - oznajmił Hank. - Wszyscy widzą, jak podle cię traktuje.

- Jeśli to prawda, to dlaczego wciąż się śmiejecie, jakbyście go popierali?

- Spojrzała na niego uważnie.

- Ja się nigdy nie śmiałem, Dot. I nie rozumiem, dlaczego Falk nieustannie głosi, że kobiety to słabsza płeć, a zarazem wciąż cię atakuje. Gdyby choć traktował cię jak równą nam, ale nie, jesteś dla niego tą „słabszą płcią”, a on, zamiast cię chronić, to jeszcze... Naprawdę tego nie rozumiem.

- Jest taki, bo podobno rozczarował się studentkami.

- Jak to?

- Powiedziała mi to dziekan Glidden. Podobno inwestował czas i prace w obiecujące młode kobiety, które potem wszystko zaprzepaściły, wychodząc za mąż i rodząc dzieci.

- Żadna nauka nie idzie w las - oznajmił sentencjonalnie.

- Oczywiście, ale z drugiej strony przełomowych odkryć naukowych nie dokonuje się w podmiejskiej kuchni.

Miała rację. Ale Hank wyczuwał niebezpieczeństwo na tej drodze.

- Myślę, że ty i doktor Glidden obdarzacie Falka zbyt dużym zaufaniem. On nie zachowuje się jak zawiedziony nauczyciel, tylko jak podstępny tchórz. Z chłopakami nigdy nie rozmawiałby jak z tobą, bo wie, że mogłoby spotkać go coś nieprzyjemnego po zajęciach.

- To jest jakiś pomysł. - Udała, że się namyśla. - Jeśli chcę być traktowana poważnie, powinnam wyzwąć go na walkę na gołe pięści.

- To mogłaby być nawet uczciwa walka, bo doktorek zapewne bije się jak, za przeproszeniem, baba.

Dot wciąż się uśmiechała, kiedy wchodzili do sali. Hank był z tego dumny. Nie pamiętał, żeby w czasie zajęć z doktorem Falkiem kiedykolwiek widział uśmiech na jej twarzy. Niestety, on też to zauważył.

- Panno Wilbur! - warknął. - Czy aż tak bawi panią chemia organiczna?

- Nie. Myślałam o czymś innym. Falk prychnął z dezaprobatą.

- Zapewne o jakichś babskich nonsensach i niebieskich migdałach.

Na coś takiego trudno było znaleźć odpowiedź.

- Nie, to raczej chodzi o mnie, panie doktorze.

Wszystkie oczy zwróciły się na Hankę. Falk aż zagotował się ze złości.

- Chcesz powiedzieć, że panna Wilbur rozmyślała o tobie? - zapytał jadowicie.

- Skądże znowu. Chodzi mi o to, że skoro odczytuje pan myśli studentów, to musiał pan trafić akurat na moje. Właśnie rozważałem jakieś babskie nonsensy i niebieskie migdały, ponieważ jestem organizatorem balu i odpowiadam za dekorację sali. Jak myślicie, chłopaki - zwrócił się do kolegów - lepsze będą papierowe rozety czy kokardy ze wstążek?

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Compton wrzał z podniecenia. Bieliźniani najeźdźcy wydawali bal w noc poprzedzającą ferie świąteczne. Każda mieszkanka żeńskiego akademika otrzymała eleganckie, ręcznie napisane zaproszenie.

Studenci z Silas Baldrige proszą o wyświadczenie zaszczytu i łaskawe zjawienie się na uroczystej kolacji z tańcami, która odbędzie się dwudziestego listopada w głównej sali.

Droga Koleżanko, z niekłamaną radością stawimy się o siódmej, żeby służyć Ci za eskortę podczas drogi do Baldrige Residence Hall.

Dot była rozdrażniona całą tą bieganiną i szczebiotem. Na jej koleżankach łatwo było zrobić wrażenie. Przecież to zwykła zabawa z tańcami, muzyką i jedzeniem, a nie przełom w badaniach naukowych, pomyślała z dezaprobatą.

Zachowała jednak te myśli dla siebie. Nie chciała psuć nastroju, ale przede wszystkim była zajęta własnymi sprawami.

Od spotkania pod gabinetem dziekana Hank stał się nieodłączną częścią jej życia. Chociaż się z tego cieszyła, to zarazem miała wyrzuty sumienia. Jeśli zamierza poświęcić się karierze zawodowej, nie powinna go zwodzić i łamać mu serca.

Każdego wieczoru, kiedy odprowadzał ją z biblioteki do akademika, powtarzała sobie, że to ostatni raz. Jutro z nim zerwę, obiecywała w myślach. Ale następnego dnia znów po nią przychodził i nie umiała mu się oprzeć. Dni zamieniały się w miesiące, aż wszyscy zaczęli uważać ich za parę.

Nawet doktor Falk przestał ją zaczepiać. Od pamiętnej rozmowy z Hankiem nie powiedział ani słowa, a Dot z głównego tematu jego żartów spadła w swoistą nicość. Po prostu jej nie dostrzegał. Ulżyło jej, choć nie była pewna, czy to krok we właściwym kierunku.

Nic zatem dziwnego, że mimo szumu, który robiły koleżanki wokół strojów i fryzur, była pogrążona w swoich myślach.

Trixie, której szafa starczyłaby do odziania pań z całkiem sporego miasteczka, poukładała swoje kreacje na łóżku. Maylene i Eva pomagały jej wybierać. Dot siedziała obok, niby obecna ciałem, ale nie duchem, słuchając, ale nie słysząc.

Kiedy zauważyła, że wszystkie na nią patrzą, otrząsnęła się z zadumy.

- No co?

- Pytałam, czy zdecydowałaś już, co włożysz na bal - powtórzyła Maylene. - Tylko ty spośród nas spotykasz się z kimś z Baldridge'a.

- Och, nie. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

- Nie interesują cię suknie Trixie? Elegantka Trixie trzymała właśnie piękną koktajlową suknię z błękitnej tafty z dopasowanym stanem, bufiastą spódnicą i dekoltem w kształcie serca.

- Och, będzie ci w niej bardzo do twarzy - oznajmiła szczerze.

- Nie ja mam ją włożyć, tylko ty - odparła cierpliwie. - Dot, ty zupełnie nie zwracasz na nas uwagi.

Zarumieniła się. Cóż, miały rację.

- Wybaczcie.

- Nie dokuczajcie jej. Nic na to nie poradzi. Jest zakochana - wstawiła się za nią Eva.

- Nie bądźcie niemądre - burknęła Dot.

- Przecież to widać jak na dłoni. Każdą wolną chwilę spędzasz w jego towarzystwie. Kiedy z nim jesteś, masz rozmarzony wzrok, a kiedy go nie ma, zachowujesz się jak nieprzytomna - łagodnie mówiła Maylene.

- Wcale nie jestem rozmarzona i nie zachowuję się jak nieprzytomna!

- Nikt cię nie krytykuje - zapewniła ją Eva.

- To tylko nasze obserwacje.

- Tak, tak - zgodziła się Trixie. - Kto by pomyślał, że z nas wszystkich właśnie ty pierwsza znajdziesz miłość.

- To tylko kolega i zamierzam przestać się z nim widywać. I to już wkrótce.

Przyjaciółki wymieniły się spojrzeniami. To rozdrażniło Dot na równi z niemożnością postąpienia zgodnie z własnymi planami. Znow twardo powtórzyła sobie w myślach, że póki nie zdecyduje, czego bardziej pragnie, kariery czy małżeństwa, powinna przestać widywać się z Hankiem.

Drzwi uchyliły się i zajrzała Sally, koleżanka z sąsiedniego pokoju.

- Dot, telefon do ciebie - oznajmiła. - To on. Wybiegła z pokoju, słysząc westchnienia zazdrości.

- Cześć.

- Witaj, kochanie - przywitał się Hank. - Mam tak dość przygotowań do balu, że chyba oszaleję. - Zabrzmiało to tak żałośnie, że Dot nie zdołała powstrzymać chichotu. - Spotkajmy się za pięć minut na rogu Ketchum.

- Nie jestem odpowiednio ubrana. - Zerknęła krytycznie na spodnie z grubego materiału. Taką modę podczas drugiej wojny światowej zapoczątkowały pracujące dziewczęta, a kontynuowały ją studentki w zaciszu akademika. Jednak był absolutny zakaz pokazywania się w takim stroju na ulicy.

- Nie szkodzi. Mam w planach piknik.

Dot jeszcze nigdy nie opuściła akademika w takim stroju. Natychmiast pobiegła do koleżanek po pomoc.

- Hank chce się ze mną spotkać za pięć minut, a ja mam na sobie te spodnie!

Jeśli miała nadzieję, że któraś wyperswaduje jej spotkanie z chłopakiem, szczerze się zawiodła.

Maylene złapała kolorowy szal i malowniczo zamotała go na głowie Dot. Eva narzuciła jej na ramiona płaszcz do jazdy samochodem, a Trixie wręczyła słomiany kapelusz. Na koniec wszystkie wybiegły z pokoju.

- Odwróć uwagę osoby, która siedzi w biurze - obiecała Trixie. - A ty znikaj, zanim ktoś cię zauważy.

Na szczęście opiekunki nie było w pobliżu, a w recepcji przy drzwiach siedziała jedynie asystentka.

- Musisz mi pomóc, błagam - jęknęła melodramatycznie Trixie, stając w drzwiach. - Piszę odpowiedź na zaproszenie na herbatkę i nie mam pojęcia, czy powinnam zaadresować ją do przyjaciółki, która mnie zaprosiła, czy raczej do pani domu, czyli jej matki!

- Nie ma sprawy - zapewniła ją asystentka i odwróciła się, by sięgnąć na półkę po poradnik dobrych manier.

Pozostałe dziewczęta natychmiast wykorzystały ten moment i wymknęły się na zewnątrz.

- Baw się dobrze! - zawołały chórem.

Po chwili Dot zwolniła kroku. Jeśli chciała pozostać niezauważona, nie powinna się śpieszyć. Nic tak nie przyciąga uwagi jak dziki bieg. Była podniecona i lekko zdenerwowana, ale nie miała poczucia winy. Łamała przecież jedną z zasad, a to zawsze wyprowadzało z równowagi taką porządnicką pannę jak ona. Doszła jednak do wniosku, że zasada była niemądra i zasługiwała na złamanie.

Kiedy dotarła do ulicy Ketchum, przy krawężniku stał już zielony Chevrolet Hanka. Dot wśliznęła się na siedzenie.

- W samą porę - oznajmił z zadowoleniem.

- I nikt mnie nie widział.

- Ich strata.

Wyjechał za miasto w stronę wzgórz, przez niewielki most na łąki, gdzie trawa nosiła ślady podobnych wycieczek. Zaparkowali. Z łagodnego zbocza

roztaczał się widok na miasteczko uniwersyteckie. Błękitne niebo ozdabiało kilka pierzastych chmurek, a drzewa skrzyły się złotem, czerwienią i głębokim brązem jesiennych liści. W dali było widać wieże kościoła, wysoki budynek hotelu „Crenshaw” i czerwone mury uniwersytetu. Dot nie mogła oprzeć się wrażeniu, że to widok jak z obrazka.

- Tu jest pięknie - westchnęła.

- Powinnaś zobaczyć to w nocy.

- Och, tak - westchnęła rozmarzona.

Zapadła dziwna cisza. Dot zerknęła na Hankę. Śmiał się od ucha do ucha.

- No co?

- Wybacz. Zażartowałem sobie z ciebie.

- Zażartowałeś?

- To miejsce jest znane wśród studenckiej braci jako Szczyt Rozkoszy.

Gdybyś przyszła tu po zmroku, zastałabyś wiele zaparkowanych samochodów z zaparowanymi szybami.

Zarumieniła się. Oczywiście знаła to miejsce z opowiadań. Podobno wystarczyło tylko przejechać w pobliżu, żeby zszargać sobie opinię.

- Nie martw się, nie zostaniemy tu do nocy - powiedział Hank, jakby czytał w jej myślach.

- Dla nas to jedynie cudowne miejsce na piknik. - Wyjął z bagażnika wiklinowy kosz i koc.

- Tam będzie nam wygodnie. - Wskazał ścieżkę ginącą między drzewami.

- To niedaleko, no i zaimponujesz mi jako dziewczyna, która nie obawia się niewielkiej wspinaczki.

- Prowadź.

Ścieżka nie była stroma, ale zdradliwa i Dot szybko przekonała się, że z całą pewnością nie jest to trasa dla kobiet w szpilkach. Cieszyła się, że włożyła tenisówki i nie zrezygnowała ze spodni.

Kiedy dotarli na szczyt, okazało się, że roztacza się stąd jeszcze ładniejszy widok, a słońce grzeje mocniej. Lekkie powiewy wiatru orzeźwiały, a nie chłodziły.

Rozłożyli koc i usiedli. Dot zdjęła kapelusz i szal.

- Zrzucasz przebranie?

- Chciałam poczuć wiatr we włosach - odparła ze śmiechem.

- Rozpuść włosy, Dot, będzie ci jeszcze przyjemniej.

Ściągnęła gumkę z kucyka i przeczesała kasztanowe sploty.

Rzeczywiście, to bardzo przyjemne, pomyślała, przyglądając się Hankowi. Już się nie uśmiechał, był bardzo poważny.

- Coś się stało?

Powaga nie znikła z jego oczu, ale na usta wypłynął łobuzerski uśmieszek.

- Tak sobie myślę, że kiedy ostatni raz widziałem u ciebie rozpuszczone włosy, przypłaciłem to zimnym prysznicem.

Roześmiała się.

- Jesteś bezpieczny, o ile nigdzie w pobliżu nie ma wiadra z liną na tyle długą, żeby sięgnęła do rzeki.

Wyciągnął dłoń, schwycił pasmo włosów Dot i nawinął sobie na palec.

- Nie jestem pewien, czy którekolwiek z nas jest tu bezpieczne.

Mogła dalej się z nim przekomarzać albo poprosić o wyjaśnienia, ale jego łagodny dotyk i czuły ton przyprawiły ją o przyjemny dreszczyk. Nagle uświadomiła sobie, że są zupełnie sami i siedzą bardzo blisko siebie. Hank delikatnie nawijał jej włosy na dłoń, przyciągając Dot coraz bliżej.

Kiedy się lekko pochylił, wiedziała, że Hank zaraz ją pocałuje. Bardzo tego chciała. Tęskniła do tego pocałunku i marzyła o nim od pierwszego spotkania. Ale czy to jest w porządku? Przecież jeszcze nie podjęłam decyzji, czy wolno mi się angażować w związek, pomyślała półprzytomnie.

Tuż przed tym, zanim ich wargi się połączyły, zanim poczuła jego smak i dotyk, spróbowała wykorzystać ostatnią szansę.

- Jest coś, o czym ci muszę powiedzieć - wyszeptwała.

- Później... - Przyciągnął ją do siebie. Kiedy zawładnął jej ustami, wszystkie myśli gdzieś uleciały. Był czuły, ale nieustępliwy, delikatny, a jednak męski. I namiętny. Tulił ją niczym najcenniejszy skarb, jakby chciał również sięgnąć do jej duszy. Ten pocałunek okazał się czymś więcej niż tylko okazaniem uczuć. Ogarnęło ją dziwne ciepło, zdało się jej, że wreszcie odnalazła swoją drugą połowę.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i bardziej poczuła niż usłyszała pomruk aprobaty. To dało jej przewrotną radość i intrygujące poczucie władzy.

Nie była pewna, które z nich w końcu przerwało pocałunek, ale natychmiast ogarnęło ją bolesne poczucie straty.

Wtuliła twarz w zagłębienie szyi Hanka i przymknęła oczy. Przytulił ją jeszcze mocniej, jakby nie miał zamiaru w ogóle wypuścić jej z ramion.

- Wiedziałem, że z tobą będzie cudownie. Że jesteś tą jedyną. - Obsypał jej skroń lekkimi pocałunkami.

Dot czuła, jak mocno bije jej serce, jak wyostrzają się wszystkie zmysły, a rozum ogarnia różowa mgiełka. Uniosła twarz, dając łakomym ustom Hanka dostęp do szyi. Z radością zapuścił się na nowe terytorium.

Była tak oszołomiona pocałunkami, że nawet nie wiedziała, kiedy ułożyli się na kocu. Hank unosił się nad nią, oparty na łokciach, a na jego twarzy igrał leniwy uśmiech satysfakcji.

- Dot, zakochałem się w tobie - szepnął czule.

Zamierzała mu wyznać to samo, ale nagle w jej myśli wdarł się ironiczny głos doktora Falka i jego komentarze o kobietach. Rzeczywistość powróciła z całą mocą.

- Czeka! - zawołała.

- Nie martw się. Nie będę naciskał. Wiem, kiedy należy się powstrzymać -
zapewnił cicho.

- Nie o to chodzi... To znaczy o to też, ale jest coś jeszcze.

Przestał muskać ustami jej brwi i przyjrzał się jej uważnie.

- O co chodzi?

- Pozwól mi wstać.

Usiadł. Dot zrobiła to samo, poprawiając bluzkę i włosy. Znow spięła je w
kucyk. Zerknęła na Hankę spod rzęs. Patrzył wyczekująco.

- Zrobiłem coś złego? Za wcześnie się zadeklarowałem?

- Nie mogę mieć chłopaka - wyznała łamiącym się głosem.

Najpierw zmarszczył brwi, a potem uśmiechnął się.

- Oczywiście, że możesz. Jestem pewien, że żadna z zasad Comptonu tego
nie zakazuje.

- Tak naprawdę nie chodzi o to, że nie mogę, ale że nie powinnam.

- Dlaczego? Chyba nie martwisz się o stopnie? Przecież jesteś ze
wszystkiego najlepsza!

- Nie, nie chodzi o stopnie.

- To o co?

- O moją przyszłość.

- Nie rozumiem.

- Ja... muszę się zastanowić. Jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Zostało nam kilka miesięcy do końca nauki. Wiele osób jeszcze nie ma
planów - odparł nieprzekonany.

- Nie chodzi o zwykłe plany na przyszłość. Dla mnie to coś
poważniejszego.

- Jak to?

Nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

- Powiedz, czego ty oczekujesz od życia, Hank? - zapytała w końcu.

Przez chwilę się zastanawiał.

- Chciałbym dostać dobrą pracę. To znaczy taką, która dawałaby mi satysfakcję. Nie muszę zarabiać gór pieniędzy, ale tyle, żebym mógł odłożyć coś na czarną godzinę. Kiedyś chciałbym też mieć dom z ogródkiem i dzieciaki. Chcę być zdrowy, zestarzeć się szczęśliwie i mieć przyjaciół. Ale ponad wszystko chcę mieć u boku właściwą kobietę. Pragnę żony, która byłaby mądra, zabawna, wrażliwa i... cóż, wygląda na to, że pragnę właśnie ciebie. - Gdy nie skomentowała jego słów, dodał jeszcze: - Chcę tego samego, co wszyscy.

- Nie wiem, jak wszyscy, ale ja też tego pragnę. Niestety, nie będzie mi to dane - powiedziała ze smutkiem.

- Dlaczego?

- Bo już tak świat jest urządony. Sam wiesz, że kobieta nie może jednocześnie robić kariery zawodowej i poświęcać się rodzinie.

- Oczywiście, że może - zaprotestował Hank. - Nawet powinna. Jeśli nie wyjdzie za mąż, jak da radę się utrzymać? Kobietom w ogóle jest trudno znaleźć pracę, a jeśli już, to zarabiają marne grosze. Dlatego potrzebują mężów, bo kto będzie płacił rachunki, nieważne, czy taka kobieta pracuje, czy nie.

- O ile panna może jeszcze znaleźć sensowną i nawet nieźle płatną pracę, o tyle mężatka nie ma na to jakichkolwiek szans - zauważyła Dot.

- Najwyżej może marzyć o tymczasowym zatrudnieniu za najniższą stawkę i na pewno nikt jej nie powierzy żadnych istotnych zadań. Przecież taka kobieta w każdej chwili może... zamarzyć o powiększeniu rodziny. Kiedy tak się stanie, będzie trzeba ją kimś zastąpić. A po urodzeniu dziecka to już w ogóle wypada się z rynku pracy. Miejscem matki jest dom i kwita.

- Dzieci w końcu idą do szkoły.

- Tak, kiedy skończą sześć lat. A jeśli pojawią się następne? Kto może przewidzieć, ile ich będzie miał? Dwoje... a może dwanaścioro? Kobiety traktuje się podejrzliwie do czterdziestki, a potem są już za stare, by je zatrudnić.

- Może jednak... - Urwał gwałtownie. Przecież Dot miała całkowitą rację.

- Właśnie o tym rozmawiałam z dziekan Glidden, Hank. Poszłam do niej, by powiedzieć, że doktor Falk nie zamierza mnie umówić z żadnymi przedstawicielami firm rekrutujących pracowników. Przekonała mnie, że Falk nie jest żadnym dziwakiem, który patologicznie nienawidzi kobiet. On jest całkowicie normalny, a jego stosunek odzwierciedla społeczną normę. Dlatego pozwala sobie na tak wiele i nie widzi w tym nic złego.

- To drań.

- Dziekan uświadomiła mi, że kobieta nie może żyć jak mężczyzna. Nie może robić wszystkiego, o czym zamarzy. Musi dokonać wyboru: albo kariera zawodowa, albo życie rodzinne. Albo albo, a nie to i to. Łączenie tych obu sfer jest po prostu wykluczone. W naszym świecie społeczeństwo nie wypracowało żadnego systemu, który by to umożliwił.

Hank nie mógł i nie zamierzał się spierać. Bo jak spierać się z prawdą? Zamiast tego zadał pytanie, nad którym Dot od dawna łamała sobie głowę.

- A czego ty pragniesz bardziej? Małżeństwa czy kariery?

- W tym właśnie problem. - Potrząsnęła ze smutkiem głową. - Obu pragnę równie mocno i nie umiem wybrać. Uwielbiam dzieci i zawsze sądziłam, że kiedyś zostanę mamą. Ale kocham też naukę. W dodatku jako pierwsza z naszej rodziny poszłam na studia. Nie mogę tego odrzucić i kłamać, że nie ma to dla mnie znaczenia.

- Oczywiście, że nie.

- Dlatego jeszcze nie zdecydowałam, co zrobię ze swoją przyszłością. A dopóki nie podejmę decyzji, spotkanie się z kimś nie jest w porządku, Hank. Nie wiem, czy mogę pozwolić sobie na miłość. Nie wiem, czy mogę pozwolić, żeby ktoś zakochał się we mnie.

- Och, skarbie, przecież to już się stało.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Główna sala Baldrige Hall była zamknięta dla tych, którzy nie wiaźali kokard, nie zawieszali lampionów lub nie cięli kolorowych jesiennych liści, będących motywem przewodnim dekoracji. Bieliźniani najeźdźcy podeszli do zadania z taką samą dokładnością i poświęceniem, jak do nocnej wycieczki na żeński akademik. Hank był pewien, że właśnie o to chodziło dziekanowi.

Jako główny organizator starał się maksymalnie wykorzystać zalety i talenty każdego z kolegów. Zatem studenci rolnictwa i leśnictwa zebrali kilometry bluszczu, ogałając do szczytu pobliskie lasy. Przyszli lekarze i biolodzy oczyścili i skręcili pnącza, a matematycy precyzyjnie rozwiesili pod sufitem, wykonując co pół metra efektowny zwis zakończony błyszczącym liściem. Studenci muzyki i teatrologii byli odpowiedzialni za zbudowanie sceny dla zespołu wokalny-instrumentalnego, natomiast przyszli inżynierowie wzniesli imponującą wodną konstrukcję, która miała dodać splendoru całemu przedsięwzięciu.

Przygotowanie balu było nie tylko całkiem udanym projektem, ale również swoistym odkryciem. Chemicy poznali uroki gotowania, a atleci mogli wykorzystać swe wspaniałe mięśnie. Studenci ekonomii zmagali się z wyzwaniem, jak sfinansować bal za uzbieraną kwotę.

Wyglądało na to, że wszyscy skorzystają na przygotowaniach do tej wielkiej imprezy. Nawet Hank. Wreszcie zyskał coś, co wypełniało mu pustkę po utracie Dot.

Powtarzał sobie, że jest głupi. Że Dot to zwyczajna dziewczyna, a na uniwersytecie takich, które z chęcią zwiążą się z młodym, błyskotliwym człowiekiem, jest wiele. Skoro nie wiedziała, czego chce, jej strata, tłumaczył sobie.

Jednak niezależnie od tego, jak wiele razy to sobie powtarzał, czuł coś zupełnie innego. Wysłuchał jej wyjaśnień i starał się zrozumieć, co nią kierowało. Mimo to nie do końca był pewien, że mu się udało. Wciąż łamał sobie głowę, rozważając podstawowe sprawy. Czy małżeństwo i rodzenie dzieci nie były biologicznym imperatywem kobiet? Taka była powszechna opinia. Czy kobiety nie zostały stworzone do pełnienia domowych obowiązków? Jednak jego matka nigdy nie głosiła takich poglądów, a w wielu rodzinach zacierał się przez wieki uświęcony podział na męskie i kobiece role. Świat po prostu się zmieniał, tyle że do wielu głów to jeszcze nie dotarło, dlatego kobiety, formalnie równe wobec prawa, w przeciwieństwie do mężczyzn musiały wybierać: albo kariera zawodowa, albo rodzina.

Dot miała prawo zostać żoną i matką, ale miała też prawo do „męskich” ambicji i walczyć o ich zrealizowanie. Inna sprawa, że akurat to drugie wcale mu się nie podobało. Jeszcze zanim ją dobrze poznał, nie umiał oderwać od niej wzroku, aż wreszcie na stałe zagościła w jego myślach. To właśnie z nią chciał dzielić życie, każde marzenie i każdą myśl.

Jednak w tak urządzonym świecie nie było mu to pisane.

W ciemnościach nocy pragnął, by zmieniła zdanie. Żeby padła mu w ramiona i przysięgła, że nie umie bez niego żyć. Żeby zyskała pewność, iż jedyne, czego pragnie, to uroczy podmiejski domek z białym płotkiem i gromadka wesołych dzieciaków.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Czy Dot byłaby sobą w tym domku z białym płotkiem i gromadką dzieci? Nie... jeśli chciał być uczciwy wobec siebie, musiał przyznać, że wcale nie pragnie, by Dot rezygnowała dla niego ze swoich marzeń. Kochał ją właśnie taką, jaka była.

Potem wymyślił, że może po latach pracy w jakimś sławnym laboratorium, kiedy Dot już dokona wielu odkryć i zdobędzie Nagrodę Nobla, zatęskni do niego i wróci.

Jednak w świetle poranka mrzonki gasły i Hank czuł, że gdy opuszczą uniwersytet, ich drogi rozejdą się na zawsze. Już sama myśl o tym przejmowała go dreszczem niepokoju. Sam nie wiedział, co gorsze: groźba wiecznego rozstania czy widywanie Dot każdego dnia.

Najgorzej było w czasie zajęć. Siedział w ławce nad otwartym zeszytem z ołówkiem gotowym do notowania każdej cennej myśli doktora Falka, jednak zamiast uważać, przyglądał się Dot. Podziwiał jej usta, które ściągała w wyrazie skupienia, i wspominał ich smak. Zerkał na jej dłonie, które niedawno pieściły jego plecy i ramiona. Chciał, żeby wśliznęły się pod jego koszulę, dotknęły nagiej skóry i...

Nie mógł dłużej znieść napięcia, więc z trudem oderwał wzrok i wbił go w podłogę. To nie był jednak dobry wybór, bo teraz przed oczami miał kształtną stopę w sznurowanym pantoflu, pięknie rzeźbioną kostkę i szczupłą łydkę, zakrytą w połowie przez brzeg spódnicy. Kiedy pomyślał, co mógłby odkryć powyżej tej granicy, zalała go fala żaru i usłyszał dziwny trzask. Okazało się, że złamał ołówek, bo tak mocno zaciskał dłoń.

Przebywanie z Dot w tym samym pomieszczeniu, a jednak tak daleko, stanowiło dla niego torturę. Kiedy byli razem, był spokojny, pełen optymizmu i pomysłów. Przeżywał też męki pożądania, ale czuł, że nadejdzie chwila spełnienia. Mógł tulić Dot i całować, oddając się słodkiej tęsknocie, bo wiedział, że czeka ich piękna przyszłość.

Teraz stracił nadzieję, że to się spełni. Już nigdy nie zakosztuje jej ust ani nie utuli w ramionach. Ogarnęło go dojmujące poczucie ogromnej straty.

Wcześniej Dot mobilizowała go do nauki, a bez niej czuł się pusty i wypalony.

Oprzytomniał, dopiero kiedy studenci zaczęli opuszczać salę. Zerknął do notatek i przekonał się, że z godzinnego wykładu zapisał dwa zdania. W dodatku jedno z nich zupełnie nie miało sensu. Westchnął zdegustowany. Jak

tak dalej pójdzie, notatki z całego semestru zmieszczą się na główce od szpilki, pomyślał.

Ociągał się z wyjściem z sali, aż Dot zniknie za załomem korytarza. Potem powoli wstał i już miał wyjść, kiedy zatrzymał go kolega z akademika, prosząc o pożyczanie długopisu. Hank zorientował się, że zapomniał swojego etui i musiał znów cofnąć się do sali.

- Ach... Brantly. Dobrze, że pana złapałem - powiedział przymilnie Falk na jego widok.

Hank jęknął w duchu. Nie cierpiał tego typu, a jego stosunek do kobiet był haniebny. Mimo to wpojony szacunek do starszych przeważył.

- Tak, panie doktorze?

- Chciałem panu powiedzieć, że w czwartek i piątek spodziewamy się przedstawiciela z Universal Research Labs. Jeśli ma pan ochotę z nim się spotkać, chętnie umieszczę pana na liście.

- Oczywiście, panie doktorze.

Właśnie podano mu na srebrnej tacy coś, o czym każdy marzył. Dobra praca, która czeka, aż skończy się studia, to było marzenie każdego studenta. Hank zignorował wyczekującą minę doktora Falka. Nie zamierzał dziękować mu za ten zaszczyt, bo wiedział, że na niego uczciwie zapracował.

Dopiero o wiele później zaczął się zastanawiać, czy Dot również dostała szansę rozmowy z pracodawcami. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że doktor Falk nie zmienił swojego podejścia do kobiet. Kiedy doszedł do tego oczywistego wniosku, ogarnęła go złość.

Egocentryczny, zarozumiały neandertalczyk, pomyślał pod adresem utytułowanego nauczyciela. Żałował, że nie może obić drania. Szybko wymyślił sposób, by pomóc Dot. Jeśli nikt na uniwersytecie nie zamierzał stanąć po jej stronie, Hank zrobi to sam.

Ubrany w brązowy garnitur, białą koszulę i krawat w paski, Hank wyglądał modnie, lecz bez żadnej przesady. Wspinał się po schodach na trzecie

piętro gmachu uniwersyteckiego, gdzie odbywały się przesłuchania. Oprócz niego czekało pod salą trzech innych, równie elegancko ubranych studentów. Czekając, rozmawiali o niczym. O pogodzie i meczach. Nie padły żadne słowa na temat pracy i przyszłości, ale Hank i tak wiedział, że wszyscy myślą tylko o tym.

Jednego z czekających nie znał, jednego kojarzył z terenu uczelni, a z jednym spotykał się na zajęciach. Wiedział, że chłopak nie należy do orłów. Doszedł do wniosku, że nie znalazł się w najlepszym towarzystwie. Fakt, że takie osoby dopuszczono do rozmów, podczas gdy Dot tego odmówiono, ponownie go rozjuszył. Do tej pory nie zdawał sobie w pełni sprawy, jak wielka niesprawiedliwość panuje na uniwersytecie. Półgłówek, byle był mężczyzną, znaczył więcej niż najmądrzejsza dziewczyna. To doprowadzało go do białej gorączki. Nie tylko ze względu na Dot, ale tak ogólnie. Połowa społeczeństwa już w chwili narodzin skazana jest na gorszy, poniżający los. I decyduje o tym tylko płeć! Nagle zrozumiał, z czym musiała borykać się jego matka. Zawsze wiedział, że ciężko pracowała za marne grosze, ale teraz wreszcie zyskał pełen obraz sytuacji.

Zanim nadeszła jego kolej, zdążył zupełnie zapomnieć o tym, że stara się o pracę. Nie miał pojęcia, o co mógłby zapytać go Clifford Wojciechowski i nie zamierzał tego sprawdzać. To on przyszedł tu po odpowiedzi na pewne pytania.

- Na jakiej podstawie dobieracie swoich pracowników? - wypalił od drzwi. - Po stroju czy zdolnościach?

- Staramy się wyszukać najlepszych, którzy...

- Naprawdę najlepszych? - Hank wpadł mu w słowo. - A czy ma pan świadomość, że pominięto najzdolniejszą osobę w mojej grupie, która prawdopodobnie jest również najlepsza na całej uczelni?

- Nie miałem pojęcia - przyznał, marszcząc brwi.

- Ktoś, kto mógłby przynieść znaczne zyski waszej firmie, został niesłusznie pominięty na liście.

- W naszych działaniach polegamy na zdaniu doświadczonych wykładowców - oznajmił Wojciechowski.

- Cóż, to niekoniecznie gwarantuje wam sukces, ponieważ niektórzy profesorowie mogą być uprzedzeni i stronniczy.

- To prawda - przytaknął niechętnie. - To może zniszczyć politykę zatrudnienia. Niestety, tacy ludzie zdarzają się na każdym kroku. A kogo, pana zdaniem, przegapiliśmy? Osobiście umówię się z tą osobą - oznajmił, wyczekująco zawieszając pióro nad papierem.

- Dorothy Wilbur.

Wojciechowski przestał pisać i spojrzał na Hankę z uśmiechem.

- Pana przyjaciółka? - spytał wyrozumiale.

Z początku Hank chciał potwierdzić to z dumą, doszedł jednak do wniosku, że to nie do końca prawda i raczej nie przysłuży się Dot.

- Nie. To po prostu bardzo mądra i ciężko pracująca studentka, która pragnie zrobić karierę zawodową. Tymczasem doktor Falk nie pochwała pracujących kobiet i nie zamierzał dać jej szansy. - Przedstawiciel firmy farmaceutycznej przyglądał się Hankowi z namysłem, lecz milczał. - Ona ma prawdziwy talent i ogromną wiedzę. Zasłużyła, żeby je wykorzystać.

- Och, ależ kobiety wykorzystują swoje talenty. Gotowanie to przecież chemia, a zmywanie - fizyka. Rodzenie dzieci zaś to multiplikacja - stwierdził żartobliwie.

Hankowi zupełnie nie było do śmiechu. Potrząsnął głową.

- Już to słyszałem. To nie są prawdziwe argumenty. Każdy ma prawo do szczęścia. Być może praca jej tego nie da, ale to wykwalifikowana i zdolna osoba. Odmawianie jej nawet szansy nie jest tym, o co walczyłem w Korei.

Wojciechowski nagle się wyprostował i jeszcze raz zajrzał w rozłożone przed sobą papiery.

- Nie wiedziałem, że jesteś weteranem wojennym.

- Po prostu odsłużyłem swoje - mruknął Hank.

- Też tam byłem - przyznał Wojciechowski.

- Zatem cieszę się, że mogliśmy się tutaj spotkać - powiedział z powagą Hank.

Obaj roześmiali się niewesoło, jakby fakt, że przeżyli, był jakimś ponurym żartem.

- No dobrze - westchnął Wojciechowski, podając mu swoją wizytówkę. - Spotkam się z tą twoją Dorothy Wilbur, ale niczego nie obiecuję. Nawet jeśli mi się spodoba, nie daję żadnych gwarancji, że dostanie pracę. Ale chcę z nią porozmawiać.

- To już krok we właściwym kierunku - oznajmił Hank.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, Hank prawie biegiem ruszył do Compton Hall. Wizytówkę i numer sali, w której odbywają się przesłuchania, zostawił dla Dot w recepcji. Nie chciał, żeby mu dziękowała. Pragnął jej po prostu dać szansę.

Dopiero w drodze do Baldrige'a dał upust emocjom. Kocham ją, pomyślał z rozpaczą. Bardzo jej pragnę, a jednak pozwalam jej odejść. Tylko co mógłbym zrobić innego? Kiedy się kogoś kocha, pragnie się jego szczęścia, nawet jeśli to ma złamać ci serce.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Noc balu okazała się nadspodziewanie ciepła i łagodna. Do wydekoltowanych sukni wystarczyła jedynie lekka narzutka albo szal.

- Nigdzie nie idę - powtarzała Dot koleżankom.

Ponieważ za nic nie chciała słuchać ich argumentów, w końcu przestały ją przekonywać. Wiedziała, że popełniła błąd, spotykając się z Hankiem. Skoro nie potrafiła bez wahania wybrać miłości i małżeństwa, to zawracanie sobie głowy fryzurami, sukniami i balami było zwyczajną stratą czasu.

O dziwo, spotkanie z panem Wojciechowskim uczyniło wyłom w jej pancerzu.

Wprawdzie chodziła z podniesioną głową, ale wciąż dławił ją smutek po rozstaniu z Hankiem. Kiedy dano jej znać, że w recepcji na dole czeka na nią wiadomość, nie przejęła się tym nadmiernie. Sądziła, że to ojciec, jak co roku, przysłał jej bilet na autobus, żeby mogła przyjechać do domu na święta. Dlatego sprawdziła to, dopiero gdy szła do biblioteki.

Serce w niej zamarło, gdy rozpoznała charakter pisma Hanka. Przeczytała wiadomość kilka razy. Nic z niej nie zrozumiała. Słowa nie były zaszyfrowane, ale starała się czytać także między wierszami.

Zamyślona przeszła do saloniku na parterze i zatoneła w jednym z olbrzymich, wygodnych foteli. Niewiele było tu osób o tej porze. W odległym kącie grano w kanastę. Dot wpatrywała się w kilka zdań skreślonych na papierze i próbowała odgadnąć ich znaczenie. Łatwo było jej pojąć, że została umówiona na spotkanie z ewentualnym pracodawcą. Tylko czy było to zwyczajne zawiadomienie? Hank po prostu dowiedział się, że na uczelni pojawił się przedstawiciel firmy farmaceutycznej i mnie o tym informuje, pomyślała. A może, niczym rycerz w lśniącej zbroi, przybiegł na pomoc zbyt słabej damulce, żeby sama sobie mogła radzić w życiu? Czy raczej są to jakieś podchody, żeby

odzyskać moją przychylność? Zamiast kwiatów i czekoladek daje mi to, na czym tak bardzo mi zależy, doszła do wniosku. Chyba że postanowił poświęcić swoją miłość, pozwalając mi gonić za marzeniami.

Ta ostatnia możliwość najmniej przypadła jej do gustu. Wcale nie chciała, żeby szlachetnie pozwolił jej odejść, choć przecież o to go prosiła. Dotrychnęła z dezaprobatą i zrzuciła kartki na podłogę. Te damsko-męskie gierki są trudniejsze niż fizyka kwantowa, pomyślała rozeźlona.

Spotkanie z Cliffordem Wojciechowskim nie rozwiało jej wątpliwości. Był miły i grzeczny, ale nie pozostawił jej złudzeń.

- Wydaje się pani bardzo wykształconą i wykwalifikowaną kandydatką. Gdyby była pani młodym mężczyzną, od ręki zaproponowałbym ciekawą pracę z niebagatelną pensją. Ale jest pani kobietą. Zatrudnianie i szkolenie pracowników to bardzo kosztowny proces. Szkoda czasu i pieniędzy na kogoś, kto nie będzie oddany firmie.

- Ależ ja jestem gotowa pracować z pełnym poświęceniem!

- A czy może pani uczciwie powiedzieć, że nie planuje małżeństwa i rodziny? Że nigdy nie przedłoży życia osobistego nad dobro firmy?

Dot długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Czy mężczyzn pan także o to pyta? Wojciechowski był tak zażenowany, że milczał długą chwilę.

- Mężczyźni to mężczyźni, a kobiety to kobiety - wykrztusił w końcu. - Mają inne talenty i zdolności. Jeśli interesowałaby panią posada sekretarki, z pewnością coś możemy zorganizować. Być może uda się nawet znaleźć coś dla pani chłopaka.

- Jak sądzę, nie będzie musiał pracować w charakterze sekretarza?

- Panno Wilbur, wierzę, że jest pani inteligentną osobką - oznajmił zmęczonym tonem. - Oczywiście mógłbym owijać w bawełnę, osładzać gorycz porażki i panią zwodzić, ale prawda jest taka, że kobiety nie mają szans na

kariere naukową. Proszę pomyśleć o zawodzie nauczycielki. W ten sposób może się pani przysłużyć społeczeństwu.

Wracając do akademika, powinna gotować się ze złości, tymczasem w ogóle nie była zła. Na kogo miałabym się wściekać, myślała z rezygnacją. Na Wojciechowskiego? Na doktora Falka? Na dyrektora liceum? A może na własnego ojca? Albo całą męską płeć? I na większość kobiet, jeśli chodzi o ścisłość, bo też są tego samego zdania, pomyślała w przyływie wisielczego humoru.

Wszystko to skłoniło ją do zmiany decyzji w noc balu.

- Jednak pójdę na przyjęcie - oznajmiła koleżankom, które były już w połowie przygotowań.

Okrzykiem zdumienia nie było końca.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - przeraziła się Maylene.

- Och, zdążymy - zapewniła ją Eva. - Trixie, gdzie jest suknia?

Natychmiast z szafy wyfrunęła chmura błękitnej tafty z tiulową halką.

- Masz, przymierz. Trzeba sprawdzić, czy nie trzeba czegoś poprawić.

- Jestem pewna, że będzie w porządku.

- „W porządku” to stanowczo za mało - oburzyła się Trixie. - Musisz wyglądać bosko.

Dot uważała, że sukienka całkiem dobrze leży, ale koleżanki uznały, że należy ją bardziej dopasować w talii. Maylene pobiegła po Barbarę, która była mistrzynią igły. Razem z nimi przyszła też Esther.

- Co się dzieje? - dopytywał się ktoś na korytarzu.

- Dot wybiera się jednak na bal - odpowiedziała Trixie ze śmiechem.

Plotka w mig obiegła cały akademik i w pokoju zaroilo się od dziewcząt. Zamieszanie, wrzawa, śmiech i przekomarzanie okazały się wciągające, bo Dot wreszcie zaczęła się dobrze bawić. Trzy koleżanki upinały jej włosy w wymyślny kok.

- Nie uważacie, że to przesada? - zapytała onieśmielona.

- Zaufaj mi - nalegała Trixie. - Wyglądasz jak Grace Kelly.

- Przecież ona jest blondynką - zaprotestowała któraś z dziewcząt. - Dot przypomina raczej Jane Wyman.

- Nie, nie. Zdecydowanie Natalie Wood.

- No, co wy? Przecież Natalie nie nosi włosów upiętych w ten sposób!

- A powinna - ucięła dyskusję Trixie.

Co najmniej dwadzieścia przyszłych wizażystek debatowało nad cerą Dot, ona zaś skłaniała się ku tym, które uznawały, że przy jej brzoskwiniowej skórze wystarczy odrobina matowego pudru i muśnięcie blad różowej szminki.

- Ta suknia jest na to zbyt wyrazista - zaprotestowała Eva.

Podskubały więc brwi Dot i przyczerniły je ołówkiem. Rzęsy podkreśliły zalotką i uczerniły tuszem. Zyskała dzięki temu senne, uwodzicielskie spojrzenie. Jaskrawa czerwień, którą nałożyła jej Eva na wargi, natychmiast przyciągała wzrok, podkreślając pełny kształt ust.

- To nie ja - szepnęła Dot, przeglądając się w lustrze.

- Oczywiście, że ty - zapewniła ją Trixie.

- O ile tylko zechcesz - dodała Maylene. Tak, chciała.

Po przeróbkach Barbary suknia leżała idealnie. Materiał przylegał tak ciasno, że wyglądało, jakby Dot włożyła gorset, a rozkloszowana spódnica do kolan podkreślała smukłość talii. Na koniec Trixie pożyczyła Dot parę białych rękawiczek, które sięgały za łokieć. Wysokie obcasy i kunsztownie upięte włosy sprawiały wrażenie, że jest wyższa i smuklejsza. Odkryte ramiona zdecydowanie należały do kobiety, nie do dziecka. Ten widok onieśmielał.

- Naprawdę mam tak iść? - zapytała zmieszana.

- Biedny Hank nie będzie nawet wiedział, co go trafiło - zaśmiała się Trixie.

Zeszły na dół tuż przed godziną siódmą. W holu panował ogłuszający hałas. Salonik, pełen dziewcząt w balowych sukniach, wyglądał jak egzotyczna oranżeria. Powietrze było ciężkie od perfum.

- Już tu są! - pisnęła jedna z młodszych studentek i została natychmiast uciszona przez bardziej dojrzałe koleżanki.

Opiekunka dziewcząt, pani Livingston, popatrzyła na nią karcąco i poprosiła o uwagę.

- Młode damy, żałuję, że nie widzi was panna Elizabeth Compton - zaczęła z namaszczeniem, wskazując dziewiętnastowieczny portret nad kominkiem. - Prowadząc dom swego ojca, pułkownika Comptona, dawała przykład skromności, szlachetności i roztropności. Powinnyście ją w tym naśladować.

Dot spojrzała na obraz. Skwaszona kobieca twarz mogłaby służyć za symbol rozgoryczenia. Dama pośmiertnie została patronką żeńskiego akademika, ale co osiągnęła w życiu? Chyba nic, prócz tego, że pochodziła z wpływowej rodziny. Możliwe, że była taka, na jaką wyglądała. Nieszczęśliwa stara panna pozbawiona sensu życia. Czy tego właśnie pragnę dla siebie? - myślała Dot. A może nawet nie mam szansy, by dokonać wyboru, zreflektowała się. Może to świat za mnie zdecydował?

- Oczekuję, że każda z was zachowa się w sposób przystający do zasad szkoły, zwyczajów waszej grupy, a także waszego wychowania. Życzę udanego balu!

Klasnęła w dłonie i dziewczęta posłusznie ustawiły się w szeregu. Na zewnątrz młodzi mężczyźni z akademika imienia Silasa Baldrige'a zrobili to samo.

Każdy z nich miał zostać oficjalnie przedstawiony pani Livingston, a ona prezentowała mu jego towarzyszkę na czas balu. Kolejka posuwała się powoli. Dot słyszała szeptane modlitwy Trixie.

- Tylko niech nie będzie niski. Może być głupi. Może być brzydki albo nosić okulary, tylko proszę, niech nie będzie niższy ode mnie!

Kiedy zbliżyły się do drzwi i Trixie sprawdziła, kto jej przypadnie, jęknęła z rozpaczy.

- Tylko nie to! To jakiś pokurcz. Nie sięgnie mi nawet do ramienia.

Karzeł, po prostu karzeł - narzekała scenicznym szeptem.

Dot odliczyła chłopców i przekonała się, że rzeczywiście partner Trixie był od niej o kilka centymetrów niższy.

- Zamienię się z tobą - szepnęła.

- Ale on od ciebie też jest niższy.

- Wcale nie tak bardzo. - Wzruszyła ramionami. - Dla mnie to bez znaczenia.

Trixie wymamrotała podziękowanie i przemknęła za plecy koleżanki. Kiedy Dot stanęła na progu, ciasniej otuliła się szalem. Uśmiechnęła się przyjaźnie do niskiego, rudowłosego i piegowatego studenta, który wyczekująco stał na wprost niej.

- Buzz, nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zajmę twoje miejsce? - rozległ się znajomy głos tuż obok jej ucha.

Wszystkie oczy zwróciły się na Hanka, który przedstawiał młodych mężczyzn szacownej pani Livingston.

- Jasne - odparł rudzielec z szerokim uśmiechem. - Pani Livingston, mam zaszczyt zaprezentować głównego organizatora balu. Oto Henry Brantly - powiedział uroczyście.

- Panie Brantly, oto panna Dorothy Wilbur - oznajmiła opiekunka dziewcząt.

Hank skłonił się z galanterią.

- Panno Wilbur, jest pani zachwycająca. To dla mnie wielki honor, że mogę pani towarzyszyć na tańcach.

Dot ujęła go pod ramię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez cały tydzień Hank poświęcał się wyłącznie przygotowaniom do balu. Zajmowały jego myśli, a gdyby głębiej się zastanowić, były swoistą ucieczką. Mimo licznych zajęć cały czas prześladowały go myśli o Dot. Wspominał ją, gdy rano otwierał oczy, i wieczorem, kiedy ze smutkiem w sercu zasypiał. Chciał jej opowiadać o wielkich wydarzeniach, na przykład o otrzymanej propozycji studiów doktoranckich, i o drobiazgach, kiedy to w kilku mężczyzn się z zawieszeniem papierowego indyka w holu. To z nią chciał się dzielić wszystkimi sprawami.

Pragnął też słuchać tego, co chciałaby mu opowiedzieć. Nie wiedział, jak poszła jej rozmowa z Wojciechowskim i czy przyszedł już oczekiwany bilet na autobus. Chciał wiedzieć, czy otrzymała propozycję pracy i rozmawiała ponownie z panią dziekan. Wciąż też rozmyślał, czy Dot przyjdzie na bal.

Ponieważ Hank był przewodniczącym komitetu organizacyjnego, miał przedstawiać eskortujących kandydatów damom. W Baldridge było więcej studentów niż dziewcząt w Comptonie, więc dwa tuziny mężczyzn miały pozostać bez pary. Zgodził się być jednym z nich.

Zamierzał z podniesionym czołem wypełnić swój obowiązek.

Tak było, dopóki nie zobaczył Dot, gdy stała w drzwiach akademika.

Zawsze uważał ją za ładną, ale tego wieczoru była zniewalająco, oszłamiająco, powalająco piękna. Nie mógł pozwolić, żeby na tańce zabrał ją ktoś inny.

- Buzz, nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zajmę twoje miejsce? - powiedział impulsywnie do chłopaka, któremu przypadło towarzystwo panny Wilbur.

Wiedział, że nie powinien tego robić. Czuł się jak głupiec. Miał przedstawiać kandydatów opiekunce dziewcząt, a zamierzał porzucić swoją rolę.

Buzzowi nawet nie drgnęła powieka. Był wyjątkowo spokojny i rozsądny. Natychmiast przedstawił Hankę opiekunce dziewcząt i Dot, a potem zajął swoje miejsce, pozwalając, aby dla niego to samo zrobił kolega stojący za nim w kolejce. Etykieta z pewnością nie przewidywała takiej sytuacji, ale Hankowi było wszystko jedno. Czuł drobną dłoń Dot na swoim bicepsie, kiedy wiódł ją niespiesznie w stronę męskiego akademika.

Miała zaróżowione policzki i lekko drżała. A może to ja się trzęsę, pomyślał. Jeszcze nigdy nie był tak rozkojarzony w obecności kobiety. Nigdy na żadnej mu tak bardzo nie zależało.

- Bardzo się cieszę, że zdecydowałaś się przyjść - wyznał.

- Wcale tego nie planowałam, ale w ostatniej chwili... ach, po prostu nie mogłam tego przegapić. Poza tym tęskniłam za tobą - dodała szeptem.

- Ja za tobą też - odparł z westchnieniem ulgi.

- Dziękuję, że umówiłeś mnie na rozmowę z przedstawicielem Universal Research Labs - powiedziała z uśmiechem. - To był miły gest.

- Miły gest? Chyba w stosunku do nich. Przydasz się im w firmie i zasłużyłaś na swoją szansę, jak poszła rozmowa?

- Tak źle, jak podejrzewasz. - Wzruszyła ramionami.

- Ich strata...

Dot nie chciała o tym dłużej rozmawiać, więc zmieniła temat. Zapytała Hankę o plany na Święto Dziękczynienia. Okazało się, że Hank nie miał żadnych. Opowiedziała mu też o czekającej ją podróży do domu. Hank zrewanżował się, mówiąc o propozycji dalszych studiów.

- Powinieneś to zrobić.

- Możliwe. To duża szansa, ale moje oszczędności z wojska niebezpiecznie stopniały i nie wiem, czy będzie mnie na to stać. Wciąż się zastanawiam.

- Na pewno sobie poradzisz - oznajmiła z pewnością w głosie.

Jej wiara w niego sprawiła mu nieoczekiwaną przyjemność.

Wkrótce dołączyli do kilku innych par oczekujących na wejście do Baldridge. Konwencja była podobna. Panowie przedstawiali damy swojej opiekunce, pani Pritchard. Witła ich gorąco i zapraszała do wnętrza. Zwyczajowe grzeczności zajęły tylko kilka minut, ale dzięki temu młodzi dżentelmeni i piękne damy trzymali się w ryzach.

Hank poprowadził Dot do recepcji, w której urządzono szatnię. Odwiesił szal, który Dot mu podała, i zaniemówił zaskoczony jej odkrytymi ramionami. Dziewczyna, którą kochał, najmądrzejsza studentka na uczelni i spełnienie jego marzeń, okazała się też najseksowniejszą istotą na ziemi.

Z trudem wrócił do rzeczywistości, podał Dot ramię i poprowadził do głównej sali. Wcześniej słyszał okrzyki zachwyty innych dziewcząt, więc teraz zaciekawiony czekał na jej reakcję.

Sploty winorośli i ozdobne liście sprawiały wrażenie polany w lesie. Złudzenie podtrzymywały niewielkie drewniane ławeczki poustawiane w przytulnych niszach, ozdobionych antycznymi rzeźbami. Po przeciwnej stronie sali szumiał kamienny wodospad, dający początek wąskiej rzece, która oddzielała parkiet od części jadalnej. Gustowny mostek stanowił jedyne połączenie obu tych przestrzeni. Pięciosobowy zespół siedział w jaskini, ukryty za pajęczą zasłoną.

Dot najpierw oniemiała, a po chwili wybuchła śmiechem.

- Podoba ci się? - zapytał Hank.

- Tak, bardzo. Ale to niewiarygodne! Tyle tu... wszystkiego. Są delikatne, kobiece akcenty, ale ta cała zieleń i stolarka... Wiesz, tylko mężczyźni są do czegoś takiego zdolni.

- Pewnie dlatego, że kiedy wy, dziewczęta, urządzacie przyjęcie, to jest ono tylko jednym z wielu. A my wiedzieliśmy, że taka okazja w naszym życiu już się nie powtórzy. Musieliśmy wprowadzić w życie wszystkie nasze pomysły na raz.

- Możliwe, że urządzenie zabawę tylko raz, ale nikt nie zapomni jej do końca życia.

- Pozwól, że przyniosę ci twój stroik. - Poprowadził ją do pobliskiego stolika.

Stroik okazał się bukiecikiem kolorowych, jesiennych liści, ułożonych od największego do najmniejszego i przeszytych kolorową tasiemką, kończącą się czymś w rodzaju pompona.

- To urocze.

Hank poważnie skinął głową.

- Przekażę wyrazy uznania kolegom, którzy je robili. Zanim udało się im opracować sensowną metodę, kilku poważnie rozważało zamiar, by rzucić się z mostu do rzeki. Dot roześmiała się perliście.

- Pozwolisz? - zapytał, wskazując bukiecik i szpilkę.

- Oczywiście - przytaknęła z uśmiechem.

Teraz, kiedy miał wreszcie sposobność jej dotknąć, niemal stchórzył. Ozdobny brzeg dekolту sukni nie całkiem zakrywał piersi i pozwalał dostrzec słodką dolinkę między nimi. Na samą myśl o tym, że ma się tam zbliżyć, drżały mu ręce. Kaszlnął, żeby pokryć zmieszanie, i wziął się w garść. Drżenie rąk groziło pokłuciem. Dot ostrą szpilką, na szczęście nic się takiego nie stało. Ostatecznie bukiecik został przypięty do skraju dekolту ponad prawą pierś.

Teraz Hank nie miał pojęcia, co zrobić z rękami. Najchętniej porwałby Dot w ramiona i obsypał pieszczotami, ale nie było to możliwe pośrodku sali balowej. Na jego szczęście orkiestra zaczęła grać.

- Może zatańczymy? - zaproponował natychmiast.

- Z miłą chęcią.

Okazali się pierwszą parą na parkiecie, ale po chwili lody zostały przełamane i w ich ślady ruszyli kolejni młodzi ludzie. Melodia nadawała się do szybkiego tańca i choć Hank nie był w nastroju, wiedział, że tak będzie bezpieczniej.

Starał się zachować przyzwoity dystans. Nie dlatego, że tak wypadało, ale dlatego, że bał się, iż jeśli weźmie Dot w ramiona, to już jej nie wypuści. Po chwili parkiet był pełen wirujących par i mimo najlepszych chęci musiał przyciągnąć Dot bliżej. Jej zapach i przyćmione światło były zbyt kuszące i Hank dał się ponieść nastrojowi. Złożył delikatny pocałunek na ramieniu Dot. Spodziewał się protestu, ale tylko przysunęła się bliżej. Teraz dokładnie czuł jej krągłości. Bardzo starał się zachowywać przyzwoicie, ale jego dłoń zaczęła żyć własnym życiem i zsunęła się po plecach na pośladki. Hank nie poczuł absolutnie nic przez śliską taftę i sto warstw krochmalonej halki, ale Dot musiała się zorientować, bo nagle uniosła wyżej głowę, a jej usta ułożyły się w zaskoczony kółeczko.

- Wybacz. - Od razu cofnął dłoń.

Ku jego zaskoczeniu, Dot na powrót umieściła ją na swoich pośladkach. Co więcej, zarzuciła mu ramiona na szyję i wtuliła się w niego całym ciałem. Był zdziwiony i zachwycony jednocześnie. Teraz miał dwie wolne ręce. Jedną pozostawił na pupie, a druga rozpoczęła powolną podróż w górę wzdłuż żeber, pozwalając Dot wycofać się w każdej chwili. Nie zrobiła tego. Po paru sekundach albo po kilku latach jego ręka zamknęła się na jej piersi.

Nagle wszyscy wokół zaczęli klaskać. Muzyka urwała się, a on tego nawet nie zauważył.

Z poczuciem winy wypuścił Dot z objęć. Miała zaczerwienione policzki i dekolt. Hank też mocno zareagował na tę bliskość. Wyrzucał sobie, że zachowuje się jak napalony nastolatek. Rozejrzał się, czy ktoś widzi jego stan. Na szczęście pary były skupione wyłącznie na sobie. Znów zerknął na Dot. Uśmiechała się nieśmiało. Była piękna, uległa i godna pożądania.

Oby następna piosenka była szybka. Niech to nie będzie wolny taniec, modlił się w duchu. Kiedy rozległy się dźwięki walca, poczuł, że pot występuje mu na czoło.

- Może wyjdziemy na taras - zaproponował.

- Strasznie tu duszno.

- Jasne.

Wziął ją za rękę i przeprowadził przez pochłonięty tańcem tłum, przez mały mostek, a potem obok stołów uginających się od przekąsek. Kiedy Dot oparła mu głowę na ramieniu, jego ręka spoczęła na jej biodrze. Hol akademika ozdabiała kilka przeszklonych drzwi prowadzących na werandę. Niektóre były pootwierane, żeby wpuszczać nocny chłód. Lampiony z kolorowego papieru rozświetlały mrok. Sprawiały szalenie romantyczne wrażenie. Wiele zacienionych zakamarków i ustronnych ławeczek było już zajętych. Hank poprowadził Dot w stronę zejścia do ogrodu i usadowił się na schodach.

- Nie jest ci zimno? - zapytał, przytulając ją.

- Mogę przynieść twój szal.

- Przy tobie nigdy nie zmarznę.

Bardzo spodobały mu się te słowa. W jej towarzystwie zawsze czuł się dobrze. Delikatnie musnął ustami jej skroń.

Dot przysunęła się jeszcze bliżej, uniosła twarz i nerwowo zwilżyła usta. Nie była w pełni świadoma sygnału, który wysłała, ale Hank odczytał go bezbłędnie. Nachylił się i nakrył jej wargi swoimi. Gdyby mógł, wtuliłby ją całą w siebie. Tymczasem skubał jej usta, pieścił językiem i roztaczał przed nią rozkosze pocałunku. Kiedy zamruczała rozkosznie, cały stanął w ogniu. Przestraszył się, że za chwilę będzie zbyt późno na rozsądek. Ostatkiem sił odsunął się odrobinę, ale nie był w stanie oderwać się całkowicie od jej ust. Wciąż składał na nich delikatne pocałunki. Dot najwyraźniej nie potrzebowała przerwy, bo wtuliła się w niego i z żarem odpowiedziała na jego pieszczoty. Jej pocałunki były takie jak ona. Hojne, entuzjastyczne i pozbawione poczucia winy. Nie miała żadnych oporów. Ten wybuch namiętności pozbawił Hanka cywilizowanych zasad. Nie mógł złapać tchu, a intensywność doznań nie poma-gała odzyskać samokontroli. Dot zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła jego głowę. Otumaniony pożądaniem, uniósł ją i posadził sobie na kolanach.

Przez chwilę sądził, że znalazł się w niebie, kiedy poczuł jej zgrabną pupę na swoich udach, ale za chwilę zrozumiał, że Dot nie jest wystarczająco blisko. Cierpiał męki niespełnienia.

Jakaś przytomniejsza część jego umysłu podpowiadała, że powinien się powstrzymać. Z trudem oderwał się od jej warg, ale tylko po to, by zobaczyć, że Dot podsunęła mu szyję do pocałunków. Lekkiimi jak piórko muśnięciami ob-sypał jej policzki, szyję i dekolt. Nagle okazało się, że jego usta pochylają się tuż nad linią materiału sukni. Pod dłonią spoczywającą na jej piersi wyczuwał stwardniałe sutki. Zapraǳnął zedrzeć suknię z Dot i do woli napawać się jej wdziękami. Kiedy zatrzymał się niezdecydowany, sama zaczęła opuszczać rąbek dekoltu.

Hank zapewne pozwoliłby wydarzeniom toczyć się własnym biegiem, gdyby nagle nie usłyszał jakichś kroków. Natychmiast oprzytomniał, nakrył ręce Dot swoimi i pomógł jej poprawić suknię.

- Oj! Wybaczcie - usłyszeli, ale żadne z nich nie podniosło głowy, żeby sprawdzić, kto ich przyłapał.

- Och... - Dot westchnęła przeciągle. - Nie przypuszczałam... słyszałam, że tak bywa, ale sama nigdy...

- Nigdy z nikim tak jeszcze się nie czułem - wyznał szczerze.

Przez chwilę siedzieli bez słowa, wpatrując się sobie w oczy. Hank usiłował zrozumieć, kim jest, gdzie się znajduje i dlaczego nie wolno mu rzucić się na kobietę, którą ma przed sobą. Wciąż siedziała na jego udach, a to nie pomagało mu się uspokoić.

- Chodźmy na spacer - zaproponował i postawił ją na ziemi.

Dot z trudem zachowywała równowagę, ale nie podał jej ramienia, bo sam był zbyt roztrzęsiony. Wbił ręce w kieszenie i powoli szedł obok niej wzdłuż pieczołowicie przystrzyżonych krzewów. Próbował pozbierać myśli i zrozumieć, co tak naprawdę czuje do Dot. Dziś miał nadzieję jedynie na to, że będzie mógł ją zobaczyć, podziwiać z daleka i może wyblagać jeden taniec.

Tymczasem pozwoliła mu trzymać się w ramionach, całować i pieścić. Nie chciał już jej wypuścić. Czy to samolubne? Pewnie tak, powiedział sobie w myślach, ale nie zamierzał się obwiniać. Mimo to czuł, że powinien ją przeprosić.

- Wybacz... to znaczy, przepraszam, jeśli... zbyt mocno naciskałem - wykrztusił w końcu. - Zazwyczaj lepiej nad sobą panuję.

- Ja też. - Wzruszyła ramionami.

- I chcę ci obiecać, że jeśli będziesz się chciała jeszcze ze mną spotykać, nie będę tak nachalny.

- Nie?

- Nie. To znaczy... będę się starał - poprawił się szybko. - Wiem, że wciąż jeszcze nie zdecydowałaś, czego pragniesz, dlatego nie będę cię do niczego zmuszał. Chcę, żebyś dokonała własnego wyboru.

- Już go dokonałam. Wybrałam ciebie. Hank gwałtownie się zatrzymał i odwrócił,

żeby spojrzeć jej w oczy. Uśmiechała się do niego.

- Czy mogłabyś to powtórzyć, bo mam wrażenie, że umysł splątał mi figła.

- Zdecydowałam, że chcę być z tobą.

- To znaczy, że chcesz ze mną chodzić do skończenia studiów, czy pragniesz spędzić życie u mojego boku? - Musiał się upewnić.

- Nie przypominam sobie, żebyś składał mi propozycję małżeństwa, więc nie mogę ci odpowiedzieć - odparła z figlarnym uśmiechem.

- Ale mogę wyznać, że cię kocham. Chcę z tobą być, śmiać się z tobą, ułożyć sobie życie u twego boku i wychowywać z tobą dzieci.

Serce Hanka rozpierała radość.

- To brzmi jak oświadczyzny! - zawołał.

- Przyjmuję!

Porwał ją w ramiona i uniósł z ziemi. Kręcili się wkoło, śmiali i całowali na przemian.

- Jestem taki szczęśliwy! Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak będzie nam cudownie.

- A ja mogę - powiedziała. - Myślałam o tym przez cały wieczór.

- Naprawdę?

- Powinniśmy się pobrać zaraz po skończeniu studiów. Ty koniecznie musisz iść na studia doktoranckie. Wynajmiemy małe mieszkanie w pobliżu uczelni, a ja pójdę do pracy. Mogę sprzątać albo zostać kelnerką. Mogę też pracować jako sekretarka. Finansowo będzie krucho, ale od dzieciństwa przywykłam obywać się bez pieniędzy. Potem, kiedy ty pójdziesz do pracy, ja będę mogła zostać w domu i zająć się naszymi dziećmi.

Hank wciąż się uśmiechał. To były właśnie te słowa, które chciał usłyszeć. Mimo to coś w tej sielance mu nie pasowało.

- A co z twoimi marzeniami, Dot? - zapytał zamyślony. - Co z twoją przyszłością i karierą? Przecież tak ciężko pracowałaś, żeby móc poświęcić się naukom ścisłym.

- Nie. - Pokręciła stanowczo głową. - To był tylko głupi, dziewczęcy kaprys i już o nim zapomniałam.

Radość Hanka nagle prysła jak bańka mydlana. Wiedział, że musi działać bardzo ostrożnie.

- Kaprys? - powtórzył. - Przecież jako pierwsza z rodziny dostałaś się na studia. Jesteś najlepszą studentką na roku i zdobyłaś stypendium z fundacji Kobiety dla Nauki. Kiedy uznałaś to wszystko za kaprysy

- Właściwie to trochę się do tego przyczyniłam. Doszłam do tego wniosku po mojej rozmowie z Wojciechowskim. Uświadomił mi, że nie mam czego szukać w świecie badań naukowych. Społeczeństwo nie pozwala kobietom konkurować z mężczyznami w zatrudnieniu i w wyścigu do dobrych stanowisk. Nawet jeśli zostanę zatrudniona, nie będę traktowana poważnie. Nigdy nie

pozwoła mi podjąć wyzwania, z którymi chciałabym się zmierzyć. To się po prostu nie zdarzy. Zawsze będę na szarym końcu. I co chciałam poświęcić w zamian za to? Ciebie, naszą przyszłość i dzieci, które możemy mieć. -

Westchnęła. - To zbyt wysoka cena, a żadna nagroda mnie nie czeka, tylko spychanie przez innych w kąt i kontentowanie się naukowymi ochłapami. Gra nie jest warta świeczki. Wstrząśnięty Hank cofnął się o krok.

- Więc się poddałaś. Nawet nie zamierzasz spróbować?

- Chcę spróbować być najlepszą żoną i matką. Przeleję swoje ambicje na ciebie i poświęcę wszystkie moje siły, by cię wspierać. Twój sukces będzie moim. I zrobię wszystko, żebyś go odniósł.

- Dot, ale czy to ci wystarczy?

- Oczywiście - zapewniła go zbyt radośnie. - To wystarcza wszystkim kobietom na świecie. Dlaczego ze mną miałyby być inaczej?

- Bo ty nie jesteś taka jak inne. Jesteś jedyna w swoim rodzaju, wyjątkowa, mądra i utalentowana.

- Uwierz, że w podmiejskich domkach jest bardzo wiele mądrych i utalentowanych kobiet - oznajmiła ze śmiechem. - Jestem pewna, że się dopasuję.

- Nie wiem, czy chcę, żebyś się dopasowywała.

- Jak to?

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Dot. I za to cię kocham. Za to, czego pragniesz i kim jesteś. Jeśli małżeństwo miałyby cię tego pozbawić, to ja wcale tego nie chcę.

- Co?

- Chodzi o to, że jeżeli przy pierwszej przeszkodzie rezygnujesz z czegoś, nad czym pracowałaś przez całe życie, to co powstrzyma cię przed porzuceniem mnie, kiedy w naszym życiu małżeńskim zaczną się kłopoty?

- To nie to samo - usiłowała tłumaczyć. - A Wojciechowski nie był moją pierwszą przeszkodą. Jeśli raz po raz uderzasz głową w mur, to znaczy, że jedynie głupota powstrzymuje cię przed zmianą kierunku.

- Nie ma nic głupiego w podążaniu za pragnieniami i za tym, na co zasługujesz.

- Na co zasługuję? - Jej głos stawał się coraz wyższy. - Zasługuję na mężczyznę, który pokocha mnie bez reszty. Na takiego, który pozwoli mi podejmować własne decyzje i który będzie mnie w nich wspierał!

- A ja zasługuję na kobietę, która nie będzie poświęcać swojego życia w imię jakiegoś wydumanego męczeństwa w małżeństwie!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zupełnie opadła z sił, zanim dotarła do akademika. To było łatwe do przewidzenia. Zostawiła Hanka, obróciła się na pięcie i ruszyła w drogę powrotną do Comptonu, zamierzając przebyć ją sama.

On jednak ruszył za nią.

- Chcesz to tak zostawić? - pytał. - Nie będziesz próbowała rozmawiać ani słuchać, tylko po prostu z nas zrezygnujesz?

Dot nie odpowiadała. Przyśpieszała tylko kroku z każdym niewygodnym pytaniem Hanka, aż w końcu prawie biegła. Z całych sił starała się nie zwracać na niego uwagi.

Zgodziła się zredukować swoje ambicje do roli życiowej partnerki i podpory Hanka. Zaakceptowała społeczne ograniczenia i chciała zrezygnować ze wszystkiego, czego dotąd pragnęła. A on odrzucił jej hojną ofertę, jakby jej wcale nie pragnął.

Przysięgała sobie w duchu, że już nigdy się do niego nie odezwie.

Przeszła przez drzwi akademika, nie oglądając się za siebie.

- Wcześniej wróciłaś - zauważyła pani Livingston. - Źle się bawiłaś?

- Wspaniale - skłamała Dot. - Ale jestem zmęczona.

Dopiero kiedy dotarła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi, rozpłakała się. Rzuciła się na łóżko, dławiąc się od szlochu.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego jest mi w życiu tak strasznie trudno? - myślała zrozpaczona. Miała już dość ciągłej walki. Chciała być jak inne kobiety. Chciała wieść normalne życie, takie właśnie, jakiego po niej oczekiwano. Próbowała do tego doprowadzić. Dlaczego mi się nie udało? - zachodziła w głowę.

Postawiła na szczerość w rozmowie z Hankiem. Przecież prawdą było, że go kocha i pragnie za męża. Wcale nie chciała z tego rezygnować. Taka była najprawdziwsza prawda.

Jednak jego słowom także nie mogła odmówić racji. Zrezygnowanie ze swoich marzeń i dążeń było straszliwym poświęceniem. Dowodziło też, że wszyscy wokół mieli rację, a ona się myliła. Wiedziała, że jest zdolna do wyjątkowej pracy, która może przynieść wspaniałe owoce, jednak nie była w stanie zmienić świata. Dlaczego Hank nie może tego pojąć? - myślała z rozpaczą. I czemu wciąż myślę o poślubieniu go?

Biła się z myślami przez wiele godzin. We łzach pozbyła się balowej sukienki i starała się doprowadzić swój wygląd do ładu, zanim wrócą koleżanki. Nie miała ochoty odpowiadać na ich pytania.

Dopisało jej szczęście. Kiedy wróciła Trixie, rozpląwała się w zachwytach. Okazało się, że niski i piegowaty rudzielec w czasie balu zamienił się w księcia z bajki.

- Jest mądry i zabawny i studiuje medycynę! - oznajmiła jednym tchem. - Chce zostać internistą w klinice swojego ojca!

- To cudownie - zgodziła się potulnie Dot. Kolejną bombą wieczoru stanowiła wieść, że Esther, współlokatorka Barbary, przyjęła od swojego

chłopaka Neda przypinę bractwa Chi Delta Chi. Wśród studentów był to etap pośredni pomiędzy zwyczajnym spotykaniem się a narzeczeństwem.

Przyjaciółki z Comptonu natychmiast zorganizowały zaimprovizowaną ceremonię przy świecach. Dot próbowała się wykręcić, ale nie chciały o tym słyszeć. Usiadły w kole i przy dźwiękach „When I Fall in Love” podawały sobie z rąk do rąk zapaloną świecę. Każda, która ją trzymała, wpatrywała się w migotliwy płomień, myślała, kiedy się zakocha i wyobrażała sobie twarz ukochanego. Wiele miało łzy w oczach. Nawet Dot. Przy ostatnich słowach piosenki Esther zdmuchnęła świecę. Wszystkie rzuciły się ją uściskać i złożyć gratulacje.

Taka właśnie powinna być prawdziwa miłość, pomyślała Dot z rozrzewnieniem w drodze do swojego pokoju. Powinno się znaleźć właściwą osobę i żyć długo i szczęśliwie. Żeby nie było trzeba rezygnować ze swoich dążeń i żałować niespełnionych marzeń. To powinien być magiczny związek ciała i duszy.

Wśliznęła się cicho do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Bała się, że znów się rozplacze. Pochyliła się nad umywalką wciśniętą między dwie przeładowane szafy i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze.

Nie miała wątpliwości, czego pragnie. Chciała mieć wszystko. I karierę, i dzieci. Dom z białym płotkiem oraz Nagrodę Nobla. Dlaczego kobietom nie pozwala się choćby spróbować walczyć o szczęście? To nie jest w porządku, myślała rozgoryczona.

Poprzysięgła sobie, że już nigdy nie pozwoli ograniczyć się do tego, co sądzili o niej inni. Sama pozwoliła to sobie zrobić. Była w błędzie tak samo jak doktor Falk i dziekan Glidden. Nie była pewna, kto w tej całej historii miał rację, ale zaczęła podejrzewać, że to Hank był najbliżej prawdy.

Z tych niewesołych rozmyślań wyrwał ją dziwny hurgot za oknem. Kiedy wyjrzała, przekonała się, że o brzeg parapetu opiera się drewniana drabina, a

Hank jest już w połowie drogi na górę. Biegiem wróciła do zlewu i napełniła wodą kubek na śmieci.

- Mam wiadro pełne wody i nie zawaham się go użyć - zagroziła.

Przystanął na chwilę i spojrzał jej w oczy.

- Możesz mnie oblać nawet benzyną, ale i tak zamierzam z tobą porozmawiać - oznajmił stanowczym tonem.

Tym razem nie zrobiła mu prysznic. Odstawiła wiadro na bok, przeszła przez pokój i stanęła tyłem do okna, splatając ręce na piersiach.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - burknęła.

- Nie szkodzi. Ja będę mówił. Kocham cię.

- Już wlażył przez okno. - Chcę się z tobą ożenić i spędzić resztę życia.

Ale nie chciałbym rezygnować z moich marzeń i planów nawet dla ciebie. I nie oczekuję, że ty zrobisz to dla mnie.

Odwróciła się gwałtownie rozdrażniona jego słowami.

- A co innego mogę zrobić? Jaki mam wybór? Myślisz, że mogę zmienić świat?

- Może - odparł ze wzruszeniem ramion..

- Bo na pewno świat potrzebuje zmiany.

- Jasne, to byłoby miłe, tylko nie sądzę, żebym dała sobie z tym radę sama.

- Mogłabyś chociaż spróbować. Poza tym jest nas dwoje. A to już coś.

- Chcę wszystkiego - przyznała w końcu.

- Ale nie wiem, jak to zdobyć.

- Ja też nie. Nie wiem, co możemy zrobić, czemu trzeba będzie sprostać i jak wiele uda nam się zwojować. Ale wiem, że jest nas dwoje, że się kochamy i chcemy spróbować. Uważam, że razem damy radę wszystkiemu, co los nam zgotuje. - Opadł na jedno kolano. - Wyjdź za mnie, Dot. Wyjdź za mnie, ale nie rezygnuj z siebie. Pragnę prawdziwej Dorothy Wilbur za żonę. Nie kogoś, kim inni chcieliby cię widzieć. Bądź moją żoną i naukowcem w jednej osobie.

Spojrzała mu w oczy. Przypomniało jej to scenę, kiedy wylała mu na głowę wiadro wody. Jednak kochała go, nie umiała się oprzeć jego propozycji i nie chciała robić Hankowi zimnego prysznica.

- Dobrze - zgodziła się z uśmiechem. Wstał z kolan i porwał ją w ramiona. Pocałował ją, wkładając w to całą swoją miłość, namiętność i tęsknotę. Zanurzeni w miłosnym uniesieniu nie zwrócili uwagi na ciche skrzypnięcie drzwi.

Trixie i pół tuzina innych dziewcząt zamarło w progu, widząc całującą się parę.

- Mężczyzna na piętrze! - zawołał ktoś z oburzeniem.

- Bieliźniany Rajd! - pisnęła inna dziewczyna i w żeńskim akademiku ponownie rozpętało się szaleństwo.

RS

Święto Dziękczynienia

Dziś

„Manohra Song” zacumowała na noc w pobliżu jednej z licznych świątyń. Wszystkie trzy pary wypoczywały na pokładzie w oczekiwaniu posiłku, napawając się jesiennym zachodem słońca. Jedynym odgłosem świadczącym o ludzkiej obecności były ściszone rozmowy rodzin mijających barkę w swoich płynących domach. Od czasu do czasu słychać było cichy plusk spowodowany przez rybę wyskakującą z wody.

Turyści mieli za sobą męczący dzień. Zwiedzili tętniący życiem, nowoczesny Bangkok i przenieśli się na spokojną prowincję. Oglądali Wat Arun, zwany także Świątynią Świtu, jedną z najslawniejszych budowli Tajlandii. Potem dali się oczarować różnorodnym łodziom w Muzeum Łodzi Królewskich. Czuli się, jakby zostali przeniesieni w czasie, bo życie, które toczyło się na rzece od wieków, niewiele się zmieniło. Podróżując w górę rzeki, z każdą chwilą zbliżali się do starożytnej stolicy Syjamu.

Kelner przyniósł pikantne kielbaski i wołowinę w pomidorach na przystawkę.

- To doprawdy pyszne - oznajmił Mac Griffin. - Jednak nie wydaje mi się, żebyśmy mieli szansę na Dziękczynienie jak u mamy.

Dorothy Brantly przywołała młodego stewarda i przez chwilę rozmawiała z nim w jego języku.

- No cóż - oznajmiła po chwili. - Nie dostaniemy indyka, ale myślę, że pieczona kaczka w curry będzie do zaakceptowania jako tradycyjny posiłek.

- Mówisz po tajsku? - zdziwiła się Natalie.

- Tak, choć trochę zapomniałam.

- Dot i ja mieszkaliśmy tu przez dziesięć lat - wyjaśnił Henry. - To dla nas szczególne miejsce.

- Jakie to ciekawe - wtrąciła Christie. - Praca was tu przywiodła?

- Byliśmy w Korpusie Pokoju - odparła Dorothy.

- Trafiliśmy do tego kraju jako jedna z pierwszych grup w 1962 roku - dodał jej mąż.

- To musiała być wspaniała przygoda - zachwyciła się Christie.

- O tak - zgodziła się Dorothy. - A także niezapomniane doświadczenie.

- Byliśmy zaskoczeni, kiedy to się wydarzyło - zaczął opowiadać Henry. - Korpus Pokoju rozpaczliwie poszukiwał naukowców i techników, dlatego zatrudniali nawet kobiety. Dorothy specjalizuje się w chemii organicznej, więc stała się odpowiedzialna za badanie i oczyszczanie lokalnych zasobów wody. Kiedy zorientowali się, że jej mąż jest inżynierem, dla mnie również znaleźli zajęcie - oznajmił z uśmiechem.

- Hank wydobywał wodę spod powierzchni i doprowadzał ją rurami do wiosek, a do mnie należało, by nadawała się do spożycia - wyjaśniła Dorothy z uśmiechem.

- Kiedy przekazaliśmy gotowy projekt lokalnym władzom, założyliśmy własną firmę i przez dwadzieścia lat wykonywaliśmy te same usługi na terenie całego Trzeciego Świata.

- Mieszkaliśmy w wielu miejscach, ale Tajlandia zajmuje szczególne miejsce w naszych sercach, bo tu odnaleźliśmy nasze powołanie. Tutaj też urodziły się nasze dzieci.

- Ta podróż to prezent na naszą pięćdziesiątą rocznicę ślubu - wtrącił Hank.

- Cudownie! - roześmiał się Pete. - Bielizniany najeźdźca to ktoś w moim typie! - zawołał, patrząc kpiąco na żonę. - Oczywiście gdybym to ja spróbował zwędzić bieliznę Natalie, znów oberwałbym od niej butem.

- Znów? - zdziwiła się Christie Griffin.

- Tak, tak. Nigdy nie uwierzylibyście, jak okropnie traktowała mnie na początku znajomości - oznajmił z głębokim smutkiem, jakby dopraszał się współczucia.

- Miałam powód, ty łobuzie! - zawołała Natalie, przywołując złość sprzed lat.

Reiner przyszedł pozbierać naczynia i zaprosić wszystkich na świąteczny posiłek, zanim zdążyli wypytać, co miała na myśli. Rozsiedli się na sofach wśród poduszek w orientalne wzory, mając nad głowami cienki baldachim.

- Co takiego zrobił Pete, że rzuciłaś w niego butem? - zapytał Mac Griffin.

- Naprawdę chcecie usłyszeć tę historię? - upewniła się Natalie z przewrotnym błyskiem w oku.

- Oczywiście! Opowiadaj! - wykrzyknęli zgodnym chórem.

- Dobrze. Musicie wiedzieć, że teraz cieszę się, że poznałam Pete'a. Jest miłością mojego życia, ale wtedy szukałam czegoś zupełnie innego...

